

MOGILKA

125

(—)

BIBLIOTECZKA NOWEL I OPOWIADAŃ

ANDRZEJ STRUG

M O G I Ł K A



WARSZAWA—MCMXXXV—KRAKÓW  
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA  
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

69141

1108



№ 2096

Odbito 3.200 egzemplarzy numerowanych

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
 Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0073269

MOGIŁKA



247258

DRUKARNIA NAUKOWA TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE,  
 RYNEK STAREGO MIASTA II

J/106/99

Jeszcze wczoraj mogli się byli przekraść.

Dziś, o tej porze, byliby już wszyscy w pa-  
sie nadgranicznym, gdzie nie podchodził nieprzy-  
jaciel. Całą dobę stracili na błędzeniu, kołowaniu  
i zawracaniu po bezdrożach. Przedwczoraj młody  
Lenkiewicz zginął gdzieś w lesie po nocy, a z nim  
wszystkie mapy. Stary Lenkiewicz drżał o los  
syna i domagał się, żeby go partja szukała.  
Szukali go też, a bardziej jeszcze map. O prze-  
wodnika bowiem było trudno w okolicy, gdzie  
chłopi byli szczególnie zajadli na Polaków.  
Nikomiu nie można było zaufać, bo tropili ich  
nietylko kozacy Chaneńki, ale i chłopci.

Partja zdaleka okrążała wsie, zapadała na  
dzień po lasach i jarugach, a w nocy posuwała  
się wciąż ku południowi, ku granicy. Tak parli  
już ostatnim wysiłkiem, a dwa tygodnie minęło  
od nieszczęsnej potyczki pod Kozyrkami. Jeść  
nie było co, wódki ani kropli. Po nocy otaczali  
samotne karczemki lub odosobnione sadyby na  
polanach leśnych i zabierali wszelką żywność,  
a ludzi straszili postronkiem, jeżeli pisną przed  
kimkolwiek bodaj słowo o przemarszu partji.  
Poczem znikali, uciekając przed kozakami, któ-

rych cała brygada, rozbita na małe oddziały, ogarnęła wielką połąć kraju i, przeszukując wszędy według wskazówek wystraszonej i nieprzychylniej ludności, parła ich bez wytchnienia ku granicy.

Pulkownik wymykał im się systematycznie i uparcie wciąż ku prawemu skrzydłu, chcąc wydostać się poza niezmiernie rozwinięty front obławy i odetchnąć choć przez jeden dzień spokojnie. Ale niepodobna było ukryć przed wszystkim, co żyje, przechodów sporego oddziału. Pomimo wszelkich manewrów i ostrożności, pomimo rozpuszczania mylnych informacji przez przypadkowo napotykanym ludzi—zawsze ktoś ich tam dostrzegał i kozacy zmieniali kierunek pościgu — zachodzili, okrążali i partja musiała cofać się, zmieniać plan, kołować, błędzić i z konieczności posuwać się w fatalnym kierunku do fatalnego miejsca, gdzie na dwie mile od granicy rozstawione były trzy bataljony piechoty, działające w porozumieniu z brygadą kozacką.

Była późna jesień, po nocach zdarzały się już przymrozki. Liść leciał gęsto z drzew, odsłaniając coraz okropniej głębie leśne i kępy zarośli, poza któremi przemykała się partja, lub gdzie zapadała w cichości, nie paląc ognia w ciągu dnia.

Pulkownik musiał za każdym razem długo prosić i długo tłumaczyć na rozum, zanim ktokolwiek zgodził się pójść na zwiady. Rozkaz

nie znaczył już nic. Nic, jeno strach i okropne położenie trzymały jeszcze w kupie tę garstkę ludzi.

Stopniał w ciągu dwóch tygodni oddział, który wyszedł cało z klęski. Na pierwszym postoju, po pierwszym obrachunku było jeszcze przeszło trzystu ludzi — sto koni — piętnaście furgonów — były zapasy amunicji — były pieniądze — i było mocne postanowienie obejść nieprzyjaciela, bronić się w razie przypadkowego spotkania i dążyć do wielkiej partji Wykrota, która nie brała udziału w walce i manewrowała wzdłuż granicy, mając w obwodzie pas neutralny. Po drodze znikali ludzie i zmieniały się zamiary dowódcy. Kozacy następowali zbliska i w wielkich masach. Porzucono tedy furgony, zabrawszy tylko konie i co się dało z bagażów, i oddział opuścił drogi bite i gościńce i wparł się w lasy i bezdroża, które chroniły od masowego ataku konnicy.

Ludzie ginęli, błędząc po nocach, patrole, wysyłane na zwiady, wracały rzadko. W ciągu pierwszego tygodnia po rozbiciu oderwały się od całości dwie kupy wbrew zakazowi pulkownika i poszły próbować szczęścia na własną rękę. Porzucano na drodze chorych, przemęczonych — zostawiano ich na gościńcu lub pod jaką siedzibą ludzką. Oddział nikł w oczach i pewnego dnia z groźnej partji bojowej stał się bezładną kupą uciekinierów — myślących tylko o własnem ocaleniu.

Tego ostatniego dnia było ich w kupie tylko dwudziestu trzech.

O ledwie szarzącym brzasku wywlekli się z zarośli przemarznięci, niewyspani i głodni. Pułkownik prowadził ich przez mokre, puste łąki, kierując się w tej nieznanym okolicy według znikających już gwiazd. Oddział brnął po kolana w torfowiskach, zmierzając ku dalekiemu pasmu lasów, które miały być im osłoną w dalszym marszu.

— Prędeż! Dalej tam! Nie zostawać! — wołał co chwila pułkownik, nie odwracając się poza siebie, i brnął po łące ze sztucerką na ramieniu i z workiem na plecach, jak szeregowiec. Przed paru dniami oddał swego konia pod bagaże a wczoraj szkapa padła właśnie w najgorszej chwili, w złym, odsłoniętym miejscu, gdzie lada moment mogły ich dostrzec podjazdy kozackie.

Nie było nawet czasu wykrajać nieco padliny dla zgłodniałych ludzi. Był to ostatni koń oddziału.

Pułkownik rozważał wszelkie możliwości, pracował głową nad utrzymaniem właściwego kierunku i przeklinał przygody ostatniego dnia, stratę map, zawieruszenie się kilku najdzielniejszych ludzi i z nimi ostatnich paru tysięcy złotych. Do wczoraj wierzył jeszcze, że garstkę swoją doprowadzi szczęśliwie do granicy—teraz wiedział, że chyba cudem uda mu się uniknąć spotkania, a najprawdopodobniej — że o tej po-

rze już się znajduje wewnątrz pętli, która się będzie ścigała, zaciskała...

— Wypadnie to chyba tak pod sam wieczór... — myślał.

Nie rozpaczal, ale był zły. Robił wszystko, co był powinien i co było w mocy ludzkiej, a nawet ponad to. Reszta nie należy do niego. Zginie on i wyginą co do nogi jego ludzie. — Będzie to tak — pod wieczór... — myślał sobie. Ale pułkownik wiedział, że od tego jest wojna, żeby wojować — czyli nie dospać, nie dojeść, deptać każdego, póki się ma siłę, ukrywać się i przekradać, kiedy się jest słabym, a przede wszystkim o każdej porze być gotowym, żeby zabijać i ginąć.

Pułkownik był żołnierzem. Z porucznika w wojsku rosyjskim awansował na pułkownika i miewał pod swemi rozkazami i po pięciuset ludzi, ale marzył zawsze, żeby mieć bodaj jedną rotę prawdziwych żołnierzy, którzy umieją bronić trzymać i ślepo słuchają, jak wrzaśnie naczelnik. Z jedną taką rotą pod Kozyrkami przebiłby się przez wszystkich kozaków i poszedłby w głąb kraju próbować jeszcze szczęścia. Z pełną nienawiści zazdrością patrzył wówczas zbliżając się na sprawne i pewne ruchy oddziałów nieprzyjacielskich. Ochrypl od krzyku i naganiania swoich ludzi — widział ich męstwo, dobre chęci i niepoprawne, okropne niedołęstwo żołnierzy, tudzież samowolę i wieczne szlacheckie warcholstwo podwładnych «oficerów» — nawet w naj-

gorszej chwili, na polu bitwy. Gdyby nie ono — o tej porze partja trzystu ludzi byłaby już w głębi kraju, rządziłaby się, jak u siebie, ludzie byliby najedzeni i pewni siebie — a gdyby przyszło do spotkania, biliby się, ginęliby w walce — gdzie przecież mogło być jeszcze i zwycięstwo. A teraz...

— Dalej tam! Nie zostawać! Wyciągaj nogi jeden z drugim! Byle do lasu!

Nie chciało mu się oglądać na mizerną gromadkę, bo brała go złość i obrzydzenie. Ludzi swoich nie żałował, ani się z nimi nie cackał, dbał jednak o to, żeby uczynić teraz wszystko, co trzeba i można dla ich uratowania. Żołnierze go nie lubili, ale bali się go — kiedyś. Teraz ani go lubili ani go się bali, ale słuchali go we wszystkim, jak nigdy — bo wiedział każdy, że jeżeli ich pułkownik teraz nie wyprowadzi, to żadna siła ich już nie uratuje.

Pułkownik zatrzymał oddział w kępie łoziny, nad wąską, pokrętną rzeczką, kazał szukać płytszego miejsca i pozwolił wytchnąć przez chwilę, a sam wyszedł na skraj kępy i przez lornetę bacznie badał okolicę. O jakie pół mili na rozległej, wolnej równinie dymiło się z kominów jakiejś wsi i widać było dzwonnice kościoła. Patrząc zaś w górę rzeczki — dojrzał między wierzbami, bardzo blisko, samotną chałupinę.

Ludzi trzeba było nakarmić. Od osiemnastu godzin nikt nic w gębie nie miał. Wziął tedy

dwóch ludzi i poszedł wzdłuż rzeczulki, nakazawszy reszcie zaszyć się w łozy i siedzieć cicho.

Chałupka była nędzna. Z półtora morga wokół było ogrodzone płotem z żerdzi. Na podwórku chłopak wyrostek łupał mokre szczapy wierzbowe.

— Co to za wieś? Tamta z kościołem?

Chłopak otworzył gębę i zbaraniał.

— Wieś?...

— Nie bój się — my swoi. Jaka to wieś?

— A Namłotów u nas nazywają...

— Niechże cię wszyscy djabli wezmą!...

Pułkownik już wiedział, gdzie się znajduje. Trzeba było zmarnować całą noc w piekielnym marszu, żeby się znaleźć w tem samym miejscu, gdzie byli wczoraj o tej samej porze. Ten Namłotów mijali o świcie, tylko oczywiście z tamtej strony.

— Wojsko jakie we wsi jest?

— Wojsko? Nie wiem, wielmożny panie.

— We wsi byleś wczoraj?

— A byłem.

— Wojsko widziałeś?

— Były kozaki.

— Dużo?

— Tego ja nie wiem, czyli dużo.

— Oficerów, starszych, widziałeś?

— Nikogom nie widział, ino gadały, że we dworze stoją jakieś jenerały.

— Gadaj prawdę. Ze wsi ludzi gnali na obławę? Zwolywał soltys ludzi? Na kie-

dy — na dziś? Gadaj prawdę, nic ci nie będzie.

— Nic ja nie wiem, wielmożny panie.

— Gdzie ociec, matka?

— Matka pomarła.

— Wieczne jej odpoczywanie. A ociec?

— Wczoraj na wieczór poszli do wsi, bo wołali.

— Kto — poco?

— A bo ja wiem? Sołtys pono nakazywał.

— Dobrze. Co jest w chałupie do jedzenia?

Chleba gotowego niema? Gdzie dół z kartoflami? Ruszaj!

Po przetrząśnięciu izby, komory i obórki nie znaleziono nic więcej, jak pół bochna chleba, króbkę soli i odrobinę cuchnącego sadła. Zato przyniesiono trzy worki. Chłopaka spuścili do dołu i kazali mu nagarniać kartofle.

— Tylko się śpiesz, uważasz? Zapłacimy trzy razy tyle, co warto! — wołał pułkownik do dołu.

— Chłopaka trza będzie w tym dole zamknąć, proszę pana pułkownika — szepnął jeden z ludzi.

— Sam wiem, co z nim robić! A ty jeden z drugim chleba tak nie żryj — bo i tam są głodni.

Pułkownik popędzał chłopaka i był całkowicie zaprzątnięty temi kartoflami. W istocie jednak był najpewniejszy, że za lasami, za rzeką, na tym samym gościńcu, który przecięli wczoraj

nad ranem, już czekają na nich kozacy — a kto wie, czy i nie piechota — bo przez dwadzieścia cztery godziny wszystko się stać mogło. Jeżeli w tych lasach są większe przerwy — rozważał — a oczywiście, że są, to nas tu przycapią. Ciekawa to rzecz, czy piechota już jest. Jeżeli jest — to będzie mój własny pułk. Oryginalne.

To mu się bardzo spodobało. Wstyd mu tylko było swoich obdartych, wymizerowanych i potruchlalych ludzi.

— Gdyby to były dzielne chłopcy, jak się patrzy, tacy, jakich miałem pod Kozłówką, gdyby ich było tak bodaj z pięć razy więcej, tobym ich napasł temi kartoflami, dałbym się im wyśpać w lesie ze dwie godziny i uderzyłbym wprost. Tobym było po kawalersku, po polsku. Gębyby pootwierali «apszeroncy». Niechnobym jeszcze natrafił na trzeci bataljon! Ha, ha...

W tym trzecim bataljonie miał pełno przyjaciół. Zachciało mu się ich zobaczyć, polec z ich ręki, a przedtem ich trochę powystrzelać.

Kiedy chłopak wylazł z dołu, pułkownik dał mu pięć złotych (ostatni pieniądz, jaki miała partja) i kazał wziąć worek na plecy. Chłopczyna poszedł z ochotą, bo był ciekawy powstańców.

W łozach wszyscy co do jednego spali pokotem, pokuleni, pookręceni z głowami. Trudno się było kogokolwiek dobudzić, szarpani i kopani ludzie otwierali błędne oczy i zapadali napowrót w sen. Jaki taki podnosił głowę, ale



głowa mu sama opadała. Na ten widok straszna senność ogarnęła i pułkownika. Zaczął tedy wymyślać i grozić.

— Wojsko za nami w pół mili. Wstawać— bo śmierć! Ruszaj!

Dopiero zaczęli się podnosić. Wszyscy mieli białe twarze, podsiniałe oczy i czarne usta. Oczy błyszczały gorączkowo, nieprzytomnie.

Chleb i sadło rozerwane było w mgnieniu oka. Ci, co nic nie dostali, wymyślali i brali się do bicia. Pułkownik pogodził ich kolbą od sztucera i wkrótce zapowiedział, że jeżeli nie chcą wyginąć co do jednego, tu na miejscu, nad tą oto rzeczką, i jeżeli chcą być wieczorem za kordonem, to niech ruszają co siły ku lasowi.

Chłopak pokazał im na rzece płytkie miejsce — po kolana — ale zdziwił się niezmiernie, kiedy mu pułkownik kazał wlażyć do wody za innymi.

Pokażesz nam drogę przez las. Smyczyński — weź go na postronek! A ty, kochanku, prowadź dobrze, bo z nami niema szpasów. Jak się dobrze sprawisz, to wrócisz do domu na wieczór.

Chłopak z przerażeniem wbił oczy w dziką postać Smyczyńskiego, który go brał, jak psa na postronek.

W lesie, na tysiąc kroków od brzegu, rozbito obóz.

Z suchych, niedymiących gałęzi nałożono ognisko i nastawiono kociołki. Pułkownik wrócił na

skraj lasu i pilnie rozglądał się przez lornetę. Nakazane było trzymać straż na odległości trzystu kroków od obozu, na wszystkie cztery strony, ale placówki posnęły natychmiast.

Większość ludzi na biwaku też chrapała, a reszta patrzyła chciwie na kotły, gdzie się cwałowały kartofle, dla pośpiechu nawet nieobrane.

— Chłopak — jakże ci na imię?

— Jędrek.

— Gadaj, Jędrek, do granicy daleko?

— Na kordon? To panowie tam?

— Ty się nie pytaj, tylko gadaj!

— We trzy godziny zajdzie na komorę we Wólczy, a do Pijawna, już na tamtej stronie — we cztery godziny. Ino, proszę państwa, jak na granicę — to trza iść ku wsi, a we wsi wojsko.

— Głupiś, my pójdziemy bokiem.

— Na każdym boku po trakcie kozaki jeżdżą dzień i noc.

— To będziem się bić i przebijem się. Nam to nie pierwszy raz. A wojska dużo?

— Ohoho!... Pełna wieś, a i za wsią w polu stoją pod płachtami, a konie na linkach pouwiązywane jeden koło drugiego, może na pół mili.

— Głupioby było tak na samej granicy... «Ruszaj» się zbłąźnił za tym razem.

— Mordować ludzi aż do śmierci to on potrafi, owszem, gnać po nocach, owszem. Wymyślać też — a jak przyjdzie do czego...

— A tymczasem, żeby nie «Ruszaj», tobyśmy już o tej porze ziemię gryźli...

- Albo tak, albo nie.
- Możeby i lepiej było.
- Lepiej to zawsze jeszcze żyć.
- Oj, żyliśmy też, żyli przez te dwa tygodnie.
- Wydostanę sobie kartofla, bo mnie strasznie mdli. Już się trochę podgotowały.
- Dajże i nam jednego!
- Oj, wódkiby teraz, wódki.
- Napijesz się dziś wieczorem galicjanki.
- Albo piwa grzanego u Abrahama...

Siedzący przy ogniu byli to przeważnie «państwo», prócz jednego wachmistrza Smyczyńskiego, który był gajowym. Było tam dwóch urzędników, pisarz od rejenta, uczeń aptekarski, syn dzierżawcy, subjekt sklepowy, dwóch praktykantów gospodarskich, synów szlacheckich — sama młodzież. Najstarszy z tej kompanji był pan Chądzyński, młody nauczyciel gimnazjalny, bardzo szanowany w partji za swoją uczoność i za to, że był poetą, który nawet drukował swoje utwory w gazetach warszawskich. Szanowano go i za męstwo, którego nieraz dał dowody, ale lubiono w partji pokpiwać i z jego uczoności, i z poezji, a nawet i z tego męstwa, które było też jakieś zbyt poetyczne i zanadto nadzwyczajne. Szanowano go i za to, że prowadził djarjusz partji w wielkim notesie, i że zachowa dla historii ich nazwiska, zasługi, bitwy i cierpienia. Ale pozwalano sobie pokpiwać i z tego pamiętnika.

Pan Chądzyński, oparty o sosnę, pisał ołówkiem w swoim wielkim, czerwonym notesie . . . .

. . . . . «dzień to ostatni i ostatnie są te moje słowa. Czuję to wyraźnie, jakgdybym własnymi oczami widział moje skrwawione ciało, leżące martwo na ziemi. Widzę zawczasu i poznaję tego «mojego» niewiadomego żołdaka, który, niewidzialny zdaleka, porazi mnie kulą z za drzewa. Myślę jasno, rozumiem rzeczy niedostępne dla człowieka w innej chwili, jak jeno w takiej godzinie.

Jest we mnie teraz dwóch ludzi: jeden, który zginie dzisiaj — to ten prawdziwy ja. Drugi — ocalony, żyjący długie lata.

Z radością i z dumą patrzę na jego życie. Widzę jego wszystkie czyny i myśli. Piękną jest każda jego myśl, płodna jest każda w narodzie robota. Zewsząd chciwie wyciągają do niego ręce niemocni po klęsce rodacy. To, co im mówi, jest prawdą, z krwi i cierpienia zrodzoną i życie nowe utwierdzającą w jego trudnych początkach. Mocne jego słowo i niezawodna wola. Przez cały młody wiek i przez dojrzały jego wiek aż do najpóźniejszej starości jednakowa i niezłomna jest jego wierność ojczyźnie.

Uczyły go głosy walk ponad siły i gwar bitew, jęki rannych towarzyszy, porzucanych po nocy, wycie tłuszczy kozackiej, loskot morderczych strzałów i szum lasu nad biwakiem. Widziały jego oczy obrazy męstwa, piękne, jak czyny hoplitów greckich, a ginące w przegranej sprawie, wdeptane w ziemię, w dzikim, leśnym ostępie, które krzywda dziejów nie da nigdy

nazwać Termopilami. Widziały jego oczy obraz ponurych krzywd wojennych. Obraz karanych zdrajców. Obraz spalonego, zrabowanego miasta. Zhańbione kobiety, splugawione kościoły. I czarniejszą od piekła, martwą ciemnotę ludu polskiego—niewinnego zbrodniarza, który łańcucha swego czepia się zębami i kąsa rękę, co go spuścić z łańcucha na wolność zamierzała, co mu ojczyznę jego za matkę dać zamierzyła.

Idzie w życie, nauczony mądrości, krwawo i ciężko zdobytej, w dostojnym trudzie aż do śmierci zasłużonej, aż do wiekuistego we chwale odpoczynku...

...Niema we mnie ku niemu zazdrości, ani goryczy, ani pokusy, żeby jak dziki zwierz wsunąć się w gąszcz leśny i na własną ręką próbować ocalenia. Szepczą mi głosy złe, żeby się odłączyć samopas, broń porzucić, ślady żołnierstwa z ubrania pozdzierać i przekradać się cichaczem, nocami, ku gościnnemu dworowi. Jako anioł stróż obiecuje mi zły głos ratunek pewny, opiekę, przechowanie.

Nakazuje mi w imię rozumu, w imię pożytku. Nazywa to, co zrobię, szaleństwem . . . . .

Ale są sprawy, wyższe nad rozum. Przeto zginę, jak tyłu współbraci, zostaną na pobojuwisku, jak zostały tysiące. Bóg nie dał Polsce zwycięstwa, Bóg każe dzisiaj Polakowi tylko cierpieć i zechciał jeno w mądrości swojej krwi upuścić mojemu pokoleniu. Niechże płynie i moja! Oko Boga liczy trupy nasze — policzy ono

i mojego. Nie człowiekowi badać wyroki boskie i odwieczne cele. Niech nasza krew ofiarna obmyje naród ze wszystkich obmierzłości, niech mu otworzy oczy na grzechy ojców naszych. Niechże wsiąknie i ta moja krew w tę łakomą krwi ziemię ojczystą! Niechaj ona ją użyźni ku lepszej przyszłości!

. . . . . W tej godzinie rozumiem rzeczy, dla wielu niepojęte. Nie mam lez nad cierpieniem człowieka, bo cierpienia żąda wyrok nieba. Twardo sprawuje swoje sądy nieodgadniony rozum świata...»

— Proszę pana Chądzyńskiego, trzaby skoczy obaczyć, co się robi z pułkownikiem. Czemuż on nie wraca? Trzaby się naradzić w razie czego...

Stary Rykwila był to jedyny chłop w oddziale. Był to chłop prawdziwy, na roli osiadły, nie rzemieślnik wiejski, nie lyk, nie dworak, ani parobek, który za panem, czy za paniczem do powstania poszedł, jeno gospodarz z dziada pradziada. Bijął się mężnie, na panów był zajadły i nosił się ponuro. Dziwna nienawiść była w tym człowieku do pułkownika. I teraz podejrzewał, że «Ruszaj» poprostu uciekł.

Pan Chądzyński wyrwał swoje myśli jakby z tamtego świata i spojrzal przed siebie. Kilkunastu ludzi chrapało, broń stała w kozłach, a kilku siedziało przy ognisku rozzutych i suszyło buty.

— Nie bójcie się, wróci pułkownik.

— Taki jakiś ten dzisiejszy dzień... Kto mądry, ten czuje. A «Ruszaj» jest mądry! On już wymyślił sobie jakiś przełaz. Dla wszystkich ten sposób za ciasny, ale on jeden przelezie.

— Głupstwo.

— Głupstwo. On pan, jemu wolno. Czemu jednak i pana ze sobą nie zabrał, kiedy mu pan równy?

— Dlatego nie zabrał, że wróci.

— Akurat! Już z godzinę, jak go niema.

— Jeszcze się kartofle nie ugotowały, a u was już godzina.

— Poszedł sobie skrajem lasu ku jakiemu dworowi. Nocą się przekradnie i będzie cały. On wiedział, że my tu zginiemy. Nie dziwi mię, że tych tam ciaraszków za sobą nie wołał, bo to chłystki, ale że pana Chądzyńskiego nie wziął...

Pan Chądzyński wzruszył ramionami i zabrał się do pisania. Ale przy ognisku rozległy się wiwaty i okrzyki radości, jakich od jakiegoś czasu nie bywało w oddziale.

— Wiwat kartofle!

— Panowie wiara, towarzysze, do jedzenia! Ruszaj!

— Gotowe śniadanie. Gdzie sól?

— Wstawaj! Bataljon na nogi! Ruszaj!

— Ruszaj!

Wodę odlano z kotłów i w obłokach pary znikło wszystko. Zerwał się i pan Chądzyński.

Parząc się i dmuchając, pożerali ludzie kartofle ze solą, zapomniawszy o wszystkich prze-

bytych trudach i o tem wiszącym nad nimi i dyszącym z lasu niebezpieczeństwie.

Jędrkowi też dano w czapkę kartofli. Chłopak jadł, bo był jeszcze na czczo, ale z pogardliwym politowaniem spoglądał na ludzi, chwalaących sobie tak mizerne jadło.

Żuł te nieomaszczone ziemniaki i wyciągał rękę do soli.

A co wyciągnął rękę, to wysunął trochę postronka z pod wachmistrza Smyczyńskiego, który z tego łakomstwa ukucnął.

Aż za którymś razem przesunął się między ludźmi na czworakach tak szybko, że zanim się kto spostrzegł, wydobył się z koła, stanął na nogach i z postronkiem popędził w las. Tylko się raz mignął między drzewami. Poleciał za nim jaki taki, ale rychło powrócili. Wszyscy zaczęli gadać, co się stało, jak się stało, kto zawinił i co z tego będzie?

— Moją radą — zaczął Rykwila — na pułkownika niema co czekać, tylko brać nogi za pas, bo ten hycel nam naprowadzi kozaków.

— Milczeć! Ja tu starszy — huknął Smyczyński. Chcesz, stary, po mordzie?

— Ano spróbuj!

— Ano masz!

— Nie bić!

— Nie bić się, Rykwila, do nogi sztucer!

— Gdzie pułkownik?

— Na co nam pułkownik? I ja potrafię krzyknąć «ruszaj».

— Panowie — zaczął pan Chądzyński.

Nagle ucichło wszystko. Gdzieś bardzo daleka rozległy się strzały. Stukały gdzieś po lesie pojedynczo, nieregularnie, jakby nieśmiało. Aż zaczęły raz po razu trajkotać salwy. Jeszcze przez chwilę trwali wszyscy w osłupieniu — i zaczął się gwar, okrzyki, ludzie obuwali się na gwałt, nakładali worki, rozbierali broń z kozłów.

Salwy grzmiały bezustanku.

Nadbiegły obudzone strzałami placówki. Oddział sformował się i był gotów do wymarszu. Śpiesznie ładowano do worków, do kieszeni pozostałe kartofle. Stary Lenkiewicz, który od czasu zagubienia syna wpadł w manję, zaczął się głośno modlić. Szyler, urzędniczek, i Gądziński, szlachecki syn, rwali się do bitwy, głośno dopominając się, żeby prowadzić na strzały, bo i tak już wszystko jedno. Galicjanin Szymborski, uczeń gimnazjalny, pierwszy zauważył, że to strzela piechota. Na to Wiklarski, pisarz od rejenta, zawołał trzykroć, jak nieprzytomny: — Śmierć, śmierć, śmierć! — Pilawiec, dworski furman, zawołał uroczyście, jakby oznajmiając coś nowego, co sam wymyślił: «Raz kozie śmierć». A na to Lenkiewicz: «Wieczne odpoczywanie racz nam dać, Panie!»... Pan Chądzyński nerwowo wodził dłonią po bagnecie sztucera, a Smyczyński, nie słuchając, co gadano, patrzył pilnie, a niespokojnie w tę stronę lasu, gdzie poszedł pułkownik. Rykwila patrzył na niego ponuro, zpedelba, ale milczał.

— Ejże prażą! Rotami wałą!

— Nasi to są ludzie. Z naszej partji. Aż tu ich wparto!

— Jeżeli to konny oddział, to choć niektórzy dopadną granicy.

— Akurat konni. Do konnych-by tak nie strzelali. Ależ wałą!

— Jak pójda w las, to się wpakują na nas, a za nimi moskale.

— Będzie nas więcej.

— Będzie więcej trupa.

— Razem zawsze lepiej.

— I żyć i umierać...

— Przejdziem my granicę, ale do królestwa niebieskiego.

— Mamy po sto dwadzieścia ładunków. To rozumiem!

— Ja tam się nie poddam. Wystrzelam wszystkie naboje.

— A oni będą czekać, aż sto dwadzieścia razy wygarniesz. I oni nie kluskami strzelają.

— A wiesz, że mi się chce spać?

— «Ruszaj» tam siedzi na drzewie i patrzy. Co nam z tego przyjdzie? Zabrałby nas i poprowadził. Najgłupiej tak stać i czekać i nic nie wiedzieć.

Poranne słońce wydobyło się nareszcie z chmur, które wisiały na niebie od nocy.

Wesoło się zrobiło w lesie. Przez przerzedzone z liści gałęzie wpadały do lasu ciepłe promienie. Migotały na słońcu chwiejąc się gę-

sto i bezustanku spadające żółte, bure, czerwone liście bukowe. Cisza była, powietrze stało bez ruchu, woddali wpadało w las raz po razu niespokojne zgrzytanie salw, jakgdyby ktoś rozdzierał i pruł nad samemi uszami sztywne, odporne, mocno utkane płótno. Między drzewami biegł wystraszony zajęczek i raz po razu przysiadł, zwracając się w stronę wystrzałów. Zrywał się, podlatywał, przysiadł, aż ocknął się tuż przed gromadą groźnych ludzi.

Oslupiał i przysiadł, rozpaczliwie strzepnąwszy słuchami. Porwał się ku niemu któryś z młodzieży i byłby go niechybnie złapał rękami, gdyby nie krzyk znajomy:

— Baczość! Na ramię broń!

Pułkownik stanął przed nimi niespodziewanie, bo ukazał się nie od tej strony, w którą poszedł. Zato trzymał garścią za czuprynę Jędrka który płakał. Przyszedłszy przed front, puścił chłopaka, dał mu jeszcze stolka kolanem i oddał go w ręce wachmistrza. Wszyscy wbili oczy w naczelnika z pytaniem, z nadzieją, ze strachem, co powie.

— W łąkach za rzeką mordują naszych! Jest ze sto ludzi. Ogarnęli ich kozacy, a piechota atakuje. Noga z nich nie ujdzie!

— Idźmy na pomoc! — zawołał, wystąpiwszy z szeregu, młody Szymborski.

— Milczeć, szczeniaku, kiedy cię nikt o radę nie pyta. Dwa bataljony następują, za pół godziny będzie z nimi koniec. Tymczasem my się

przemkniemy. Pośpiech! Rozumiesz jeden z drugim? Co siły w nogach! Zrzucać worki, płaszcze, wszystko — tylko pilnować ładunków, jak oka w głowie. Podpasać się, nogi opatrzyć — buty dobrze opatrzyć, bo potem na nikogo nie będzie czekania. Macie na to pięć minut czasu.

— Dalej! Ruszaj!

— Panie pułkowniku! Czy jest jeszcze jaka nadzieja? — spytał któryś ze synów szlacheckich.

— Nadzieja! — Też słowo żołnierskie. Jest i Wiara i Miłość i Święta Zofja z trzema córkami. Nadziei niema, ale jak będziecie nogi wyciągać, to się wydostaniem — właśnie dlatego, że jest bitwa.

— Hańba uchodzić z pola bitwy...

Ale Smyczyński ujął «Szymborcza» pod gardło swoją chłopską garścią i, potrząsnąwszy nim kilka razy, doprowadził do opamiętania. Pułkownik spojrzał na chłopca serdecznie. Gdybyż to miał takich jeszcze dziesięciu, pokazałby on dzisiaj swoim «apszeroncom», jak to wyglądają prawdziwi powstańcy i jak to giną polscy żołnierze...

Pognali gęsiego przez las. Jędreka, prowadzony na postronku, pokazywał drogę. Szybko wydostali się na wąską drożynę i z pół godziny szli wartko w zupełnym milczeniu, tylko suche liście szeleściły im złowrogo pod nogami. Który był słabszy, przemagał się a zdązał za innymi. Wszelako po jakimś czasie rozerwał się łań-

cuch ludzi. Przyzostali: czeladnik piekarski Frączek, który miał odparzoną nogę, Gońca, dworski gajowy, chory już od tygodnia, i pan Goloński, wędliniarz z Turobina, którego losy powstania i jego partji zaniosły aż w te strony, a który utracił już oddawna całą swoją otyłość rzeźnicką, ale nie mógł się pozbyć zatykania w gardle i duszności. Rzęził, chrapał i z wytrzeszczonymi oczami, ponsowy z wysiłku, został na samym końcu. Z rozpaczą widział, jak szybko oddala się kolumna, z rozpaczą widział, jak oddalają się od niego nawet ci dwaj, co przyzostali w tyle. Nikt się nawet za nim nie obejrzał. Chciał wołać, ale nie mógł głosu wydobyć. Chciał przystanąć, żeby złapać oddech i krzyknąć — ale bał się stracić bodaj jedną chwilę. Biegł drobniutkiemi kroczkami, zataczał się i czuł, że lada chwila upadnie.

Pan Chądzyński dobrze znał pułkownika i wszystkie jego dziwactwa. Zastanawiał go też bardzo pewien szczery i całkiem swobodny uśmiech, jaki ożywia teraz twarz «Ruszaja». Uśmieszek ten przywarł do niego od chwili wyruszenia z biwaku i wydawało się, że pułkownik śpieszy się ku czemuś niezmiernie miłemu i radosnemu, co stać się ma lada chwilę, bardzo prędko — ależ przecież im prędej, tem lepiej. Wbrew swemu zwyczajowi naczelnik nie zważał zupełnie na oddział, nie popędzał zostających wtyle, nie wymyślał. Pan Chądzyński pociągnął go za rękaw i zapytał oczami.

Pułkownik przystanął i, kiedy ludzie ich wyminęli, poszli obok siebie z tyłu oddziałku.

— Niech pułkownik gada, co wie. Mnie można. A ja powiem, że strasznie mi się nie chce za kordon.

— Rzecz gustu. A tym się chce... — wskazał na idącą przed nimi gromadę.

— Między nimi jest jeszcze z pięciu, co też są gotowi...

— Błazeństwo! Żeby był choć jeden pluton — toby było coś... Pan-byś wyleciał w pięciu z lasu na dwa bataljony, jak ten galicyjski uczeniak? Nie uchodzi na wojnie taka pantomina!

— Okropnie słyhać, jak tamtych wycinają w pień.

— Na wojnie dużo przykrości. To jest nic. Gdyby nam teraz drogę zastąpili, tobyśmy wydali batalję według wszelkiej nauki wojskowej. Niechbyśmy wpadli na cały pułk — jabym się bronil do upadłego, bo to jest rzecz honoru wojskowego. I to jest piękne — idzie cały pułk na dwudziestu. Ale w pięciu rzucać się na pułk dla fantazji — to za głupie i za poetyczne. I na taką rzecz nie pójdą nasi ludzie. A inna rzecz — jak będzie potrzeba — lajdaki oni, wystraszone to, a wymizerowane, że patrzeć nie można, a jednak niech w tej chwili nam zastąpią drogę — to się będą bronić wcale porządnie. Pan nie wojskowy.

— I pułkownik naprawdę myśli, że my do tej granicy...

— A zobaczymy, co tam za lasem.

— Możeby ludzi uprzedzić, umocnić.

— Umacniać za wcześnie — to znaczy tylko gorszego strachu napędzać! Niech sobie wierzą, że uciekniemy. Ha, ha... Widzisz pan, jak się śpieszą?

Pan Chądzyński spojrział bystro na pułkownika, który uśmiechał się dobrotliwie.

— A jak dziś przejdziemy kordon — co pan będzie robił? Będziesz pan jeszcze wracał z jaką nową partją?

— A pułkownik?

— Ja panu powiem: mnie tam nic nie obchodzi polityka ani dyplomacja. Ani to, czyśmy już ze szczeniem przegrali, ani to, czy tam jakie Francuzy... Ja żołnierz i moja rzecz bić się do upadłego. To też jeżeli mi dadzą stu ludzi podmustrowanych i gdzie będzie choć ze dwudziestu dawnych żołnierzów — to wracam, tylko się wyśpię. Ja nie mogę wstydu się najadać przed moskalami. Na wojnę się idzie z żołnierzami. A nasi — jak przyjdzie do czego — to jedni chcą tylko umierać — a inni tylko uciekać. Rób tu obroty z takimi.

— Żołnierzy panu nikt nie stworzy. Duch znaczy wszystko. Duch tworzy cuda!

— Nie gadaj pan głupstw! Na wojnie znaczy żołnierz, co umie strzelać i co ma z czego strzelać i który słucha i ma kogo słuchać. Tego u nas nigdy nie było, ale zato ducha — oho... Pan nie wojskowy!

— Czemu pan ciągle taki uśmiechnięty, panie pułkowniku?

— Bo czuję blisko granicę. Będę dzisiaj spał. Przed dwa tygodnie nie dosypiałem, a przez trzy noce całkiem nie spałem.

— Wszyscy my będziemy dzisiaj spali...

— Tak pan prorokuje? Ha, ha, zobaczymy.

Salwy terkotały bezustanku i stawały się coraz groźniejsze. Echo leśne powtarzało wiernie każdy odgłos. Raz po raz między gałęziami przelatywały, kracząc, wrony. Z ludzi lały się strugi potu, zrzadka odzywało się słowo. Szybko przesuwały się drzewa. Jędrek zapowiadał, że za dwa pacierze wejdą w poręby, przez które środkiem idzie gościńiec. Na tę wieść o gościńcu westchnął jaki taki i żal mu się robiło gęstego lasu. Nagle wystrzały ucichły. Przyszło zato zdaleka granie trąb. Powtarzał się jakiś sygnał, oddalał się, przybliżał, zlewał się w bezładny chór, zawisł jeszcze w powietrzu oderwany jego pojedynczy dźwięk i w tejże chwili zaczęły się głuche, przeciągłe wrzaski i wycia ogromnej gromady ludzi. Zlewały się z niemi echa leśne.

— Stój! — krzyknął pułkownik. — Baczność! Równaj front! Do szeregu!

Wyszedł przed front, oparł sztucer o ziemię i szerokim ruchem zdjął kaszkiet.

— Słuchajcie, bracia! Tam nasi giną! Już na nich idą na bagnety — to koniec. I oni chcieli do granicy — a jak nieprzyjaciół zastąpił — stoczyli batalję i wyginęli mężnie. Tak i my. Sły-



szycie, jaki tam krzyk? Na ura idą soldaty. I nam wolno się ratować, ale jak trzeba będzie, zginiemy mężnie! Co? Jak tamci za lasem! Cześć ginącym braciom. My im pomóc nie mogli, bo nas garść — ale jak po drodze da się co urwać — to pójdziem. Co? A jak nas zaczepi rota, dwie roty, albo i cała brygada — to żaden z nas się nie podda. Po żołniersku zginiemy, po polsku! Cześć mężnym! Ruszaj!

— Oddział baczność! Oddział, prezentuj broń!

Stali we dwa szeregi, wzdłuż drogi i oddawali honory ginącym za lasem. Stopniowo umilkł rejwach bojowy. Zrzadka padł jeszcze samotny strzał. Ustalala się już cisza, aż uderzyła w las kapela wojskowa! Hucznie, triumfalnie grzmiały trąby i głucho, jak rytmicznie dochodzący strzał działowy, odbijał bęben takt bojowego marsza.

Pułkownik stał sztywno, jak na parady, z odsłoniętą głową i twarzą ku dalekiej bitwie. Jego żołnierska dusza oburzała się na swoją ciężką krzywdę. Nie dał Bóg Polsce zwycięstwa, nie dał jej czasu zorganizować armję, nie dał jej ginącym wojownikom nawet tego milego uchu żołnierza dźwięku trąby wojennej, co przygrywa do dzielności i krew do boju zagrzewa.

Nadeszli na to trzej zapóźnieni i stanęli, dysząc ciężko. Pułkownik odsunął oddział w las, nakazał ciszę i poszedł ku porębie ze Smyczyńskim, prowadzącym na postronku przewodnika.

Goloński — wędliniarz — położył się na ziemi i rzeził.

— Cóż z wami będzie?

— Wody — na miłosierdzie boskie.

— Wody niema, ale jakże wy dalej pójdziecie?

— Zostanę tu, zostanę, nie bójcie się nic. Kozacy mnie tu znajdą i dobiją.

— Pomożemy wam. Weźmie was dwóch mocniejszych między siebie pod pachy. Wydychajcie się tymczasem...

— Gnać się dalej tak nie będzie.

— Bić się tu chyba będziem gdzie niedaleko.

— Proszę was, bracia... każdego z osobna, który się dzisiaj uchroni... Do żony mojej napiszcie, do Turobina...

...Litości, kroplę wody w godzinę skonania... Moje pożegnanie i błogosławieństwo dla dzieci...

...Niech wiedzą dzieci, żem dla ojczyzny... O, Boże miłosierny, ratuj!... Napiszcie, żem w ostatniej chwili...

I pan Goloński zaczął się dusić. Ratowali go, jak mogli.

— Panowie bracia! Koledzy — zaczął pan Szymborski — postanówmy sobie i przysięgnijmy sobie, że żaden się żywy nie da. Pomścijmy braci! Mamy po sto dwadzieścia ładunków. Dwie godziny się możemy bronić. Chwałą się okryjemy. Nabijemy moskali. Koledzy!

— Módlmy się, bracia. Na kolana padnijmy i opiece boskiej się oddajmy! Ręce do nieba podnieśmy i wołajmy z ufnością: Kto się w opiekę odda Panu swemu!

— Cicho, stary, módl się pocichu. Zglupiał z tego strachu...

— Ja się nie boję, bo Bóg nad nami!

— To wiadomo, ale moskał bliżej.

— Nie bluźnij, bo wszyscy przez ciebie zginą!

Cisza zrobiła się za lasem. Ludzie uspokoili się i jaki taki układał się już do spania. Po kwadransie spała już połowa. Pan Goloński leżał nawznak bez ruchu i bez kropli krwi w twarzy, z głową opartą na kolanach Rykwily, który siedział pod bukiem i spał chrapiąc głośno. Stary Lenkiewicz modlił się, klęcząc ze złożonymi rękami, z głową, opartą o drzewo. Słońce przedostało się do nich przez obnażone gałęzie i w jego ostrem świetle pisały się na twarzach ludzkich wyraziście okropne trudy pochody.

Przeglądało słońce obszarpany przyodziewek żołnierzy, uwalanych w ziemi, ich nędzne buty, ich broń, dawno nieczyszczoną. Barwne liście bukowe migotały na słońcu i spadały na nich spokojnie, jak cichy śnieg. Wszyscy już spali; spali, siedząc oparci o drzewa, leżeli nawznak lub twarzami do ziemi, opierali się o siebie nawzajem, tulili się do siebie, lub chrapali, rozwaleni w pojedynkę opodal. Lenkiewicz modlił się ze wzdychaniem i głucho bił się w piersi. Pan Chądzyński pisał.

«...O czym może śnić człowiek, który ma umrzeć za chwilę?

«Ile lat musi minąć, zanim Polska dźwignie się po klęsce?

«Jakie pokolenie żyć będzie po nas? Czy długo nas będą wspominać? Czy sprawiedliwie osądzi nas potomność? Co nam będą pamiętać, czy nasze trudy i męki, czy też tylko to, że przegraliśmy sprawę?

«Słodką jest chwila poświęcenia. Łaskawy jest uśmiech wieczności, witający zbliżającego się ku niej człowieka. Wszelka słabość płynie z ciemnoty. Gdybyż wiedzieli to, co ja, ci śpiący ludzie... Byłby między nami spokój, byłaby cicha radość...

«I ja zostawiam życie, przyjaciół i kobietę kochaną, która nigdy nie dowie się, że ją kochałem i że myślałem o niej w ostatnich moich chwilach... A już niczego nie żałuję. Odeszło ode mnie wszystko, co jest z tego świata. Niema już we mnie nienawiści do wroga, choć lada chwila będę słał ku niemu mordercze kule, zanim mi nie wytrącą broni z ręki. Ślepi są ludzie, dopóki żyją na ziemi...»

Pan Chądzyński podniósł głowę na szelest liści na drodze. Nie spodziewał się nikogo innego, jak tylko pułkownika z wachmistrzem i przewodnikiem, jakgdyby nie było już innych ludzi w całej okolicy. Niewyraźnie przez drzewa i krzaki zobaczył dwóch konnych, jadących stępą.

Głośno szurały po liściach kozackie konie. Pan Chądzyński spojrzal niespokojnie na śpiących, potem drgnął całym ciałem na myśl, że tamci dwaj poszli ku porębie i że to ku nim jadą kozacy. Dwaj konni znikli mu z oczu —

tylko szelest liści szedł jeszcze za nimi przez chwilę i umilkł. Zaczął rozmyślać pan Chądryński — czy budzić śpiących — czy iść na pomoc tamtym, czy i co należało robić. Czekał, czy za tymi dwoma nie jedzie większa siła. Nadsluchiwał bacznie, aż wreszcie poznał, że kozacy byli przywidzeniem zmęczonego bezsennością i trudami umysłu. Bo oto teraz po wężłowatym pniu bukowym biegnie ruda wiewiórka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Wszystkie zwierzątka z całego lasu wylażą na ten jeden buk. To widzi wyraźnie — a to przecie nie jest prawdą. Za drzewami biegną tam i zpowrotem jakiś pies czy wilk i znowu staje się bardzo dużo i psów i wilków. Ludzie śpiący, którym się przyglądał, uśmiechali się wszyscy przez sen. Uśmiechał się i modlący się na klęczkach Lenkiewicz. Ale pan Chądryński dobrze wiedział, że to tylko złudzenie. To dziwne i zabawne — pomyślał i zasnął.

Znalazł się wśród rodzinnego miasta o jakiejś bardzo wczesnej godzinie. Ulice były puste, bramy i sklepy pozamykane. Dąży do czegoś, śpiesząc się gorączkowo, i błądzi, zawraca i nie trafia w ulicach znajomych od dziecka. Nareszcie otwiera się okno na drugim piętrze — w oknie ona. Staje oczarowany. Nigdy na niego nie patrzyła tak, nigdy się tak nie uśmiechnęła. Woła do niego: «pójdź!» Brama zamknięta, więc idzie po ścianie, czepiając się za co może, podnosi się szybko, z łatwością. W oknie ona podaje mu obie ręce, zbliżają się ku jego twarzy okrutne

cudne oczy i rozchylone usta. Ogarniają go płomienie niewiarogodnej rozkoszy.

Tuman snów unosił się nad powaloną przez trudy gromadą. Rafalski — kasjer pocztowy — uczynił jakiś fatalny błąd w rachunkach i po raz setny sumuje olbrzymią kolumnę cyfr, śpiesząc się niezmiernie i myląc się nieustannie. Morduje się i gorączkuje — bo w drugim pokoju siedzi pan pocztmistrz i czeka, uśmiechając się zjadliwie. Rafalski widzi, jak świdruje w nim złemi oczami z za okularów. On go śmie posądzać! Rafalski za chwilę zerwie się i znieważy naczelnika. Ale spostrzega, że stary urzędnik już kiwa ku niemu dobrotliwie ręką i uspokaja go: — panie kasjerze, daj pan pokój rachunkom. Teraz już wszystko jedno, jakie tam już teraz rachunki. Patrz pan, co się dzieje. — I czyta głośno z gazety jakieś straszliwe, niewiarogodne nowiny, o niepojętych przewrotach, o tem, że księżyc zbliża się do ziemi «powoli ale stale» i że za trzy tygodnie nie będzie ani śladu z życia ludzkiego. Nieprawda! — woła Rafalski. Ano, to pan czytaj. Pan pocztmistrz podchodzi i podaje mu numer. Ale Rafalski odpycha go i nie chce patrzeć! Okropny jest jego strach.

Szyborski mocował się z napastnikiem, który przygniótł go całym swoim ciężarem, dusił go za gardło i usiłował mu odebrać jego ładownicę ze stu dwudziestu nabojami. Rozpaczliwie broni jedyne go swego skarbu, ale już omdlewa od wysiłków i, widząc, że nie poradzi, zaczyna się



targować: «dam ci dwadzieścia ładunków—tylko mnie puść!...»

Deptały po zmożonych ludziach ciężkie maki. Szturmowały do nich stare wspomnienia życia, wyprawiały się przed nimi niepojęte dziwolągi, dusiła ich zмора. Przewracali się, jęczeli przez sen, męczyli się. Każdy przeżywał w tym śnie coś najtajemniej własnego, każdy w tem krótkim uśpieniu coś dla siebie wyczytał i odgadł. Nie śniło się nic tylko Lenkiewiczowi, który się wciąż modlił, i Golońskiemu, który już skonał i leżał po dawnemu z głową, opartą na kolanach chrapiącego Rykwiły.

Z wielkim trudem i znowu z kopaniem i szarpaniem budził ich pułkownik ze Smyczyńskim. Powoli gramolili się ku wstawaniu pomordowani ludzie, powoli przychodzili do przytomności i spostrzegali, gdzie są i co się z nimi dzieje. Pan Chądzyński po tej chwili snu czuł się wypoczęty i rześki. Pułkownik i wachmistrz mieli łyskające oczy i zawziętość w twarzach, a bagnety mieli obaj czerwone. Jędrak, który wciąż chodził za wachmistrzem na postronku, trząsł się, jak w febrze, był blady i oczy rozwarły mu się szeroko.

— Co się stało?

— Nic. Dwóch kozuniów na nas wlaźło przypadkiem. Nie zdążyli nawet krzyknąć. Trza ich będzie poodciągać z drogi dla niepoznaki,

bo mogą przechodzić inni. Konie przywiązaliśmy w lesie. Wstawaj! Ruszaj!

— Co słyhać, pułkowniku? — spytał szep-tem pan Chądzyński.

— Nic, droga niby wolna. Jeżeli chłopak nie łże, to te lasy za gościńcem idą aż do samej granicy. Możemy dojść — dlaczego nie? Możemy... Trzebaby tylko przez tę porębę jakoś delikatnie. Pusto, psia krew, goło — widać naokoło na jakie trzy wiorsty...

— A Goloński umarł, panie pułkowniku. Krew go zalała.

— Daj mu tam, Boże! Ładunki i broń zabrać!

— Lenkiewicz nie chce iść za nic.

— Ej, ty! Organista! Chodź z nami, będziesz się modlił po drodze. Wstawaj, bo cię tu znajdą! Słyszysz? Ruszaj!

Ale napróżno tłumaczono mu i szarpano go na wszystkie strony. Stary głowę zadarł do góry, a oczy miał już zupełnie błędne i nie widział nic, prócz jakichś rzeczy tajemnych, które się działy tam wysoko w przestworzach niebieskich. Zabrano jego sztucer i naboje i zostawiono ich obu. Pan Chądzyński, który szedł na samym końcu, obejrzał się jeszcze raz. Trup Golońskiego leżał z twarzą, przykrytą kaszkietem żołnierskim, a stary Lenkiewicz klęczał u jego stóp z rozkrzyżowanymi ramionami i patrzył w niebo i modlił się głośno.

Okolo czwartej po południu wyszedł już z ludzi ostatek sił. Wlekli się wszyscy w kupie, noga za nogą, opierając się na sztucerach, zataczając się i ledwie dysząc. Granica musiała być już gdzieś bardzo blisko. Jaki taki pomyślał sobie, że może nawet są już za linią kordonu i, nic o tem nie wiedząc, mordują się tylko niepotrzebnie. I tylko ta bliskość granicy podtrzymywała jeszcze cudem siły ludzkie. Ale wszystko ma swój koniec.

Nastąpił moment, kiedy kilku odrazu zwaляło się na ziemię i nie mogło już powstać.

Pułkownik błagał ich, żeby się jeszcze przemogli.

— Tylko pół godziny, ani minuty więcej! Słyszycie? Pół godziny, z zegarkiem w ręku — i spanie! Pół godziny — i żarcie i wolność! Ruszaj!

Nic to jednak nie pomogło. Należało wytchnąć. Rozłożyli się w krzakach na brzegu sporej polany, na której stały samotne purpurowe buki i kilka bladożółtych klonów. Rozłożyli się w łańcuch, frontem do polany, mając za sobą las — i granicę. Nakazane było nie spać i trzymać broń gotową. Większość jednak już po minucie zaczęła chrapać, a reszta z głodu gryzła i żuła gałązki bukowe lub pożerała surowe grzyby.

Mijały właśnie cudowne godziny jesiennego południa. W ciepłych promieniach słońca, w zapachu więdnących liści rozpowijał się rzewny

smutek i słodka, niewyraźna tęsknota. W smętej, łaskawej pogodzie stały wielobarwne buki, srebrzyły się pajęczyny po łące.

— Jędrus — mówił dobrotliwie pułkownik. — Rozważ ty, chłopcze, jeszcze raz! Wymiarkuj sobie, kochaneczku, i obejrzyj się, póki czas. Czyś ty się aby nie zmylił? Już się teraz przyznaj. Mów prawdę. Nic ci nie będzie.

— Ja, proszę wielmożnego pana pułkownika, tędy lasami nie chodził. Ale ten las jest rządowy i nazywa się Buczynowski las. U nas wszyscy wiedzą, że on podchodzi pod samą Austrię. Tędy dużo szwarcunku chodzi w spokojny czas, a w tę wojnę i trzy razy tyle. Nasi ludzie wszędzie tu mają swoje przechody, ale ja tu nie bywałem, przepraszam wielmożnego pana...

Smyczyński słuchał pochmurnie, ponuro patrząc na chłopca.

— Gadaj, chłopak — rzekł — daleko teraz do tej twojej wsi? Pokaż, w której stronie Namłotów?

Jędrus zafrasował się. Prawdę powiedziałszy, nic on już nie wiedział. Ani gdzie jest wieś, ani gdzie jest «Austrija», ani też — w którą stronę teraz idą. Bał się niezmiernie powstańców, bo ludzie gadali, że oni za byle co wieszają na gałęzi. Z tego strachu kręcił, jak mógł, i łął, że Namłotów jest o dwie godziny drogi — bo «obeśliśmy wkoło lasami, i że teraz wieś się przybliżyła», że granica «ino patrzeć». Uspokajał pułkownika, że tu żadnego wojska być nie może, bo cesarz austriacki nie pozwolił Moskałom

zbliska podchodzić, że dalej, jak za Namłotów, kozaki nigdy nie chodziły i t. d.

Jędrak był chłopak rozgarnięty i byłby innego czasu wszędzie trafił. Ale od tej chwili, kiedy pułkownik i wachmistrz, do którego był przywiązany na postronku, zaczęli żgać bagnietami w kozaków i kiedy kozaki zwały się z siodeł, pomroczyło mu się w głowie. Okolica tamtejsza była jeszcze znajoma i tam wszystko wiedział. Ale potem zaczęło się chodzenie po nieznanym lasach.

Mijali polany, poręby, bagienka leśne, stare lasy, jakieś zagajniki. Napotkawszy jaką osadę ludzką, już zdaleka zbaczały w las, nadrabiając drogi i okrążając niebezpiecznych ludzi. Jędrak chciał z duszy trafić, jak trzeba, bo bał się bardzo pułkownika i spodziewał się, że go panowie hojnie nagrodzą, a zresztą dumny był z tego, że on, Jędrak, prowadzi całą «partję». Szedł wprawdzie na sznurku, ale na ramieniu trzymał sztucer, a u pasa miał ładownicę. Zdawało mu się, że jest żołnierzem, i okropnie mu się chciało ten sztucer i tę ładownicę przynieść ze sobą do domu. Zasługiwał się więc, jak mógł, ale teraz czuł, że zblądził.

Pułkownik, miarkując według słońca, wiedział, że kierunku naogół nie utracił, ale o tej porze sam już sobie nie dowierzał. Mimo całej odporności i woli co chwila zasypiał. Zapadał w chwilowe odrętwienia podczas pochodu, szedł, jak nakręcony, mówił machinalnie i czuł, że śpi.

Po chwili budził się i niezmiernie znużenie podcinało mu nogi. Przemagał się, a dla ulgi wymyślał swoim ludziom, wlokącym się, jak po smole. Bezladne obrazy przesuwaly mu się przez głowę.

Pierwszy triumf — zabranie transportu nieprzyjacielskiego i zniesienie doszczętnie rot piechoty wraz z oficerami... Wielkie nadzieje, wszędzie szczerą ochotę do walki. Gościnne i ofiarne dwory, posłuszne chłopstwo, sprawnie działająca machina wojewodów, naczelników, komisarzy, skarbników i powódź instrukcji i cyrkularzy, które znamionowały, że ktoś ruchem rządzi. A lada moment na to wszystko miał przyjść i wszystko objąć genialną głową i mocną ręką pan Ludwik, prawdziwy żołnierz i prawdziwy rewolucyjny generał. A oto Langiewicz.

Zamęt i zajadłość dyskusji z nieznanymi komisarzami, przybywającymi do tajnego rządu z poleceniami, pełnemi dziwologów. Klótnie w szeregu, polemiki i rozłamy po lasach podczas pochodu, w obliczu nieprzyjaciela. Kogo słuchać? Co robić?

Znowu moment szczęścia. Przyszły sztucery belgijskie. Znowu strapienie: gdzie ładunki?

Zaczęła się nareszcie wiosna, ustalała się pogoda. Miło się zrobiło w lasach. Z dnia na dzień na spodziewaniach, oczekiwaniach, na pochodach i kontrmarszach, na obozowaniu i rzadkich drobnych utarczkach zeszło całe lato. Wciąż się coś zacząć miało naprawdę. Ot jutro — ot poju-

trze — ot za dwa tygodnie. Ale wciąż było tylko to samo. Wielkie było święto, jak się dało coś urwać. Niezmierna, dziecinna radość panowała wówczas w obozie. Nikt nie wiedział, że na wojnie takie triumfy nic nie znaczą. Pułkownik tęsknił do planu, do wodza, do wielkiej armji. Tak zeszło — ot i koniec... Robił, co był powinien, aż do ostatka, ale wiedział, że właściwie nic nie zrobił.

Myśli te były smutne, ale pułkownik nie poddawał się nigdy rozpaczy. Wiedział, że nic on tu nie zawinił, więc był, jak zawsze, spokojny w duszy swojej. I jak zawsze był na coś zły. Pułkownik miał niezłomne przekonanie, że dowódca powinien być zły i opryskliwy o każdej porze dnia i nocy i w każdej okoliczności. Inaczej niema dyscypliny. To też złościł się bez przerwy przez cały czas kampanji, tem bardziej, że nie było takiego dnia ani godziny, żeby nie miał za co i na kogo.

A teraz do wściekłości doprowadzała go myśl o tym jego pułku, który, jak to wiedział zawczasu, operował nad granicą. Najtajniejszym marzeniem jego, od czasu, jak złamał przysięgę wojskową, było — spotkać się na polu bitwy z dawnymi kamratami. Była w tem pewna kawalerska i próżna chępliwość — popisać się przed starymi znajomymi. Były w tem jednak i mściwe uczucia i nieubłagane porachunki.

Porucznik Zawalenko i kapitan Batyszyn byli to wrogowie, których kazalby powiesić, gdyby

ich złapał. Oni to bowiem jeszcze na długo przed powstaniem publicznie zapowiadali, że w razie wojny z Polakami porzucą służbę. A jemu pofnie przysięgali, że wstąpią do szeregów powstańczych służyć swoją sztuką wojskową słusznej sprawie, walczyć o wolność Polski i o wolną Rosję. Wtajemniczeni byli obydwaj w ważne roboty spiskowe, przygotowawcze. A kiedy przyszedł miesiąc styczeń, ostali w wierności. Kiedy ich widział po raz ostatni, jeszcze będąc w mundurze rosyjskim, już mieli zimne, oficjalne twarze. Nie rozumieli zupełnie, o co mu chodziło, i tak znakomicie odegrali komedję zdumienia, że pułkownik przypuszczał, że sam zwarjował i że wszystko, co było przedtem, i to, czego się od nich domagał — było tylko majakiem. Przeraziło go to. Kilka godzin spędził w okropnej walce o zdobycie jasnego sądu o tem, co zaszło. I zrozumiał nareszcie i przeboleł ten srogi zawód.

Ale raną jęczącą był dopiero porucznik Kiryłow. Tamci byli to koledzy, ludzie zaufani, którzy mogli być dla ruchu pożyteczni — ten był najszczęśliwym i jedynym na ziemi przyjacielem. Kolegowali ze sobą w szkole wojskowej. Razem w pułku dobijali się pierwszych stopni oficerskich. Razem pili, razem marzyli, mieli wspólną kasę i wspólną każdą myśl, razem mieszkali i jak jeden człowiek jednocześnie zakochali się w jednej i tej samej pannie. Jemu to zeszło z pola późniejszy pułkownik, kiedy przyjaciel zakochał się i zakochał śmiertelnie, i przez jakąś fatalność

właśnie w «niej», w tej samej... Dla niego wyrzekł się panny, jakiej drugiej nie mogło już być na świecie. Pomagał mu u panny, która się w nim właściwie zakochała—toczył z nią tajemnicze narady, podczas których krwawiło się mu serce, i oddał ją przyjacielowi. Bo groził Kiryłow, że się zastrzeli. Trzymał nad nią koronę w cerkwi podczas ślubu i przez cały czas trwania obrzędu ręka mu się nawet nie zatrzęsała.

Olga była Rosjanką, Olga byłaby drugą Pustowójtówną — gdyby...

Kiedy oboje zegnali przyjaciela, idącego do walki, — Kiryłow miał tam za nim pośpieszyć i w połowie lutego miał się już stawić. A pozostał. I kiedy pułk wyszedł w pole, poszedł z pułkiem.

Temu człowiekowi chciałby pułkownik spojrzeć w oczy. Z tym chciałby się spotkać w polu, w tej godzinie bitwy, — kiedy to piechota już biegnie do ataku. Pułkownik nie wiedział, co by zrobił z przyjacielem. Możeby go zamordował z rozkoszą, możeby stanął, odrzucił broń i spytał: «cóż, zabijesz mnie?»

W ciągu całego dnia od chwili, kiedy zobaczył z lasu bitwę na łąkach nad Czarną i poznał przez lornetę barwy swojego pułku, obraz ten stał mu wciąż przed oczami. Teraz stracił już nadzieję spotkania.

Drzemał i budził się. Zamyślał się, a myślenie przechodziło w sen. Kiedy się ocknął i otworzył oczy, oblał go zimny pot.

Na przeciwległym brzegu polany ostrożnie wynurzał się z zarośli łańcuch piechoty. Na lewym skrzydle kroczył, czając się, pochylony Kiryłow i pokazywał na niego szablą żołnierzom. Pułkownik osłupiał i nie miał władzy ruszyć się z miejsca, ani nawet krzyknąć na swoich. Wszyscy śpią — myślał z rozpaczą.

Tymczasem żołnierze, skradając się ostrożnie, doszli do buków, do połowy polany. Kiryłow przelożył szablę do lewej ręki i wyjął rewolwer. Straszliwa gorycz zalała serce pułkownika. Porwał się całym wysiłkiem i wszystko znikło, jakgdyby cień, padający od buków, pochłonął ich i zagasił.

Pułkownik przestraszył się tej wizji. Przysiągłby, że to nie był sen. Długo wpatrywał się w polanę i ze śladami pewnej podejrzliwości badał cienie pod bukami.

— Panie Chądzyński — spytał — co to są halucynacje?

Pan Chądzyński czytał coś ze swojego wielkiego notesu. Czytał właśnie swoje wiersze, napisane podczas długiego obozowania przed dwoma miesiącami. Za wielkiego poetę się nie miał, ale wiedział, że w każdym jego utworze jest jakaś iskierka. Utwory swoje lubił i teraz przeglądał je, jakgdyby się z nimi żegnając. Albowiem przypuszczał, że te rzeczy już zaginą — a swojej rychłej śmierci w tych lasach był pewien i o tej godzinie tak samo, jak rano i w ciągu całego tego dnia.



— Halucynacje, panie pułkowniku, są objawem nienormalnie funkcjonującego mózgu. Ot naprzykład z przemęczenia.

— A jak się pokaże właśnie coś takiego, jakby to ktoś naumyślnie przed człowiekiem ułożył? Taka jakaś najtajemniejsza myśl, czy chęć... Jakby to sam djabeł wymyślił?... Taka zjawia musi coś znaczyć—to chyba przeczucie... jakies jasnovidzenie? Co?

— A co pułkownik zobaczył?

— Et, głupstwo... Zmordowany jestem i tyle.

— Pułkownik nie jadł dzisiaj nic?

— Nie mam apetytu.

— Nie zostawiliśmy pułkownikowi ani jednego kartofla. Hańba!

— Gorsza hańba, żeśmy zblądzili. Prawdę powiedziawszy, to nie wiem, w którą stronę iść. To jest dopiero hańba! A wieczór za pasem. Z głodu mi osłabną na nic—i znowu paru trzeba będzie zostawić. I jak na urągowisko mamy huk nabojów, a niema do kogo strzelać. Też położenie...

Omieciński, uczeń aptekarski, wrzasnął przez sen nieludzkim głosem, zerwał się na równe nogi i wystrzelił. Na to Sularczyk, czeladnik szewski, ocknął się, porwał za sztucer, wymierzył ku polanie i wypalił też. Za nim strzelił Frączek i jeszcze hrabski lokajczyk, Antek Wasiak. Zrywał się jeden za drugim.

Ale paru spało dalej martwym snem, nie ruszywszy się nawet po strzałach. Echo przesuwalo się po lesie i zamilkło.

Obłoczek dymu prochowego zawisł nisko nad polaną i stał w spokojnem, jasnem powietrzu, rozścielając się wąskim pasmem.

Pułkownik już się nawet nie gniewał za ten alarm. Nic nie rzekł Omiecińskiemu, który się przysięgał, że zupełnie «nie spał» i że widział najwyraźniej żołnierzy, wychodzących z lasu po tamtej stronie. Należało jednak brać nogi za pas, bo na wystrzały lada chwila mógł się zjawić nieprzyjacielski patrol albo i większa siła.

Długo budzono, namawiano i straszono tych, którzy jeszcze pomimo całego gwałtu spali, jak zarżnięci. Rafalski już zupełnie nic nie rozumiał. Oganiał się, jak mógł, od szarpiących go kolegów, wierzgał nogami na wszystkie strony, wymyślał okropnemi wyrazami i kulił się do ziemi. Postawili go na nogach, natrzęśli go i wreszcie oprzytomniał. Najtrudniej szło z Gadzińskim. Zgadzał się na wszystko, wstawał, brał broń i ruszał z miejsca, ale zrobiwszy kilka kroków, zbaczał w zarośla, układał się cichaczem do spania i zasypiał natychmiast. Bylby już zginął, gdyby go nie pilnował młody Szymborski, który nie opuszczał go ani na krok i kopaniem zmuszał do wstawania. Gadziński bowiem był to jego kolega i przyjaciel, a ponadto Gadziński strzelał «genjalnie», nigdy nie chybiał i, zasiadłszy gdzie za drzewem, a mając nabojów pod dostatkiem, starczył sam za dziesięciu strzelców.

Szymborski zaś był najpewniejszy, że jeszcze będzie bitwa, bo inaczej rozplakałby się z rozpaczy

i z tej hańby. Mozolił się tedy z przyjacielem i z tej irytacji bił go już naprawdę z całej siły.

Opóźniało to pochód, ale pułkownik już się o nic nie gniewał.

Jędrak od czasu do czasu niespokojnie patrzył na wachmistrza i gadał: «dobrze idziemy!» albo «teraz już wiem!»

— I cóż ty wiesz? — pytał Smyczyński.

— Tym lasem het będziemy szli przed siebie pół godziny, może ze trzy kwadranse i będzie znów zachodzić ta sama rzeka Czarna (bo ona się tu ciągiem lasem przekręca). Za rzeką jest już zaraz granica.

Ale wachmistrz mu już nic nie wierzył. Czuł, że zblądzili i że błądzą dalej. Darli się przez las według słońca — ale linja granicy jest kręta. Mogą iść wciąż wzdłuż kordonu aż do samej nocy i po nocy wleżą właśnie w najgorsze miejsce...

Pułkownik pytał Omiecińskiego głosem przyciszonym:

— Naprawdę widziałeś moskali?

— Żebym się tak z tego miejsca nie ruszył, żeby we mnie piorun strzelił, panie pułkowniku...

— Dobrze, dobrze... Piechota była?

Omieciński odpowiadał z wielkiem przejęciem głosem tajemniczym i jeszcze raz poprzyśiągł, że to nie był sen, bo on ani oka nie zmrużył — a co to było? Niewiadomo. Jakaś straszna tajemnica, może fata morgana, albo jakie czary?

— Piechota była panie pułkowniku. Szli we dwa rzędy, szeroko rozrzućeni w tyraljerkę.

— A jakie mieli kołnierze? Lampasy u kaszkietów jakie były? Widziałeś? Pamiętasz?

— Pamiętam. Na kaszkietach mieli czerwone, a na kołnierzach...

— Głupiś! Jeżeli na kaszkietach mieli czerwone, to i na kołnierzach. I nie całkiem czerwone, tylko ciemno-karmazynowe.

— Skąd pan pułkownik to wie? — Omieciński aż się przeraził.

— A oficer był z nimi? Oczywiście, że był, bo samopas żołdatów nie puszczają — idzie tylko o to, czyś ty go widział?

— Był i oficer. Młody, wielki moskal...

— Czy on nie był czasem czarny? Wąsy czarne? — pytał z niepokojem pułkownik.

— Jak Boga kocham, był czarny!

Pułkownik był głęboko przejęty tem, czego się dowiedział. Już teraz miał zupełną pewność spotkania się z przyjacielem. Bóg go ostrzegał, jakgdyby mu chciał powiedzieć: przygotuj się zawczasu!

I pułkownik był gotowy. Tylko przywarł mu do twarzy ten sam dziwny uśmiech. Szedł głęboko zamyślony, a w jego uśmiechu mieniały się ustawicznie skurcze: szyderstwa, rozkoszy, zgrozy i strachu. Pułkownik niezmiernie kochał przyjaciela.

. . . . .  
. . . . .

Nareszcie coś się zaczęło wyjaśniać. Uczyniło się w lesie o wiele widniej, a po chwili

poprzez drzewa ukazał się szeroki świat. Smyczyński poszedł z Jędrkiem patrzeć, a reszta została w lesie. Nikt nawet nie siadał. Czekano z biciem serca na wiadomości, bo nadchodził wieczór.

Wachmistrz stanął na brzegu ogromnej, starej, zapuszczonej i już nieco porastającej poręby. Przez szkła zobaczył daleko, daleko dwa wiatraki, obracające leniwo skrzydłami na tle nieba.

Prowadząc lornetę po horyzoncie, znalazł jeszcze rząd topoli i białą murowaną dzwonnice...

— Chłopak — co widzisz?

Ale Jędrak i bez szkieł dawno poznał okolicę i zatrząśł się ze strachu przed wachmistrzem. Poznał swoją wieś.

— Co to za wieś?

— Oj, nie wiem, proszę łaski pana wachmistrza. To chyba jest jakaś wieś już po tamtej stronie!

— A w Namłotowie wiatrak jest?

— Wiatrak?

— Młyn jaki jest? Dokąd do mlewa wozicie?

— A jest we wsi wiatrak.

— Jeden?

Dwa są wiatraki: jeden pański, drugi księży, ale, proszę pana wachmistrza, wiatraki są też wszędzie...

Smyczyński wyraźnie usłyszał turkot wozu. Wóz szedł po twardej, ubitej drodze. Zaczęło hurkotać — jakby jechało dużo wozów, jeden za drugim.

— Co to może być za gościniec?

Wiedział Jędrak, co to za gościniec, wiedział, że w tem miejscu, od tej poręby idzie polna droga, która przecina gościniec i prowadzi znowu lasami aż do dawnej komory w Wilczy. Na skrzyżowaniu dróg stoi karczma, gdzie szynkuje główny szwarcownik na okolicę, Gierszon. Moznaby tu zaczekać do wieczora, a Gierszon za pieniądze, albo i całkiem za darmo ze strachu dałby człowieka, któryby wszystkich przeprowadził. Wszystko to Jędrak doskonale wiedział, ale bał się przyznać, że zblądził, że kłamał, więc milczał i tylko wzdychał. Chciało mu się ludzi z tej biedy wybawić, ale przemógł strach, bo się nasłuchiwał, że powstańcy za byle co wieszają.

— Pocoś lgał? Chciałeś nas zgubić? A skąd my mamy wiedzieć, że i teraz nie lżesz?—Tak mu powiedzą i powieszają.

Postal Smyczyński, postal i wrócił do lasu. Kiedy doszedł, wszyscy patrzyli pilnie w głąb lasu i nasłuchiwali bacznie. Z poza nich, z głębin lasu dochodził słaby, niemilknący szmer. Na tle tego szmeru to coś stuknęło głucho, jak kolkiem po pniu bukowym, to znowu doleciał jakby głos ludzki, to wydało się, że ktoś rozmawia, to jakby koń parsknął... Odgłosy te zdawały się dochodzić odrazu ze wszystkich stron.

Pułkownik był blady, jak trup. Panu Chądzyńskiemu zupełnie mimowoli układał się w głowie pewien dziwny wiersz, coś w rodzaju heksametru. Miał wrażenie, że słowa te wy-

plywały same z głębin lasu. Gadziński pilnie opatrywał broń. Szymborski miał płomienie w oczach...

Wpadła prawie na nich i o jakie dziesięć kroków przystanęła wilczyca z trojgiem małych. Stała cicho, jak widmo, błysnęła klami i znikła bez szmeru. Co chwila bokami szmyrgały zające.

— Co? Oblawa? — szepnął pułkownik do wachmistrza.

Smyczyński ponuro kiwnął głową. Cicho, porozumiewając się tylko gestami, pułkownik wyprowadził ludzi na porębę. Jak okiem zajrzał, sterczały tu pnie. Bliżej lasu młode buczki puszczały się już bujnie, trzeba było brnąć przez ich gęstwę po kolana. Sypał się z pod nóg deszczem jasnożółty liść. Dalej stały pojedyncze kilkuno-stoletnie drzewa, nasienniki, a jeszcze dalej czerniały na porębie, jak złomy kamienia, luźne porozrzucane sągi i olbrzymie i już czarne stare kłody bukowe. Ku tym sągom i kłodom zmierzali, biegnąc. Ale zaledwo dopadli i pochowali się, jak który mógł, wystawiwszy broń ku lasowi, od prawej strony o jakie tysiąc kroków z pomiędzy pieńków i z poza takich samych półsążków wyrosło nagle wśród ciszy wielkie mnóstwo rozprószonych ludzi. Uderzyły bębny i ciżba żołnierska rozlała się w obie strony w długi łańcuch. Szybko ogarnął łańcuch szeroką połąć polany.

Trąby z pośpiechem wygrały sygnał i odrazu z kilkudziesięciu miejsc buchnęły dymy i grze-

chot wystrzałów uderzył w cichy las. Czerwone, zachodzące słońce oblało świat purpurą i złotem. Mienił się w słońcu cały ogromny, jak krwawe morze, las bukowy. Czerwono-złote stało się wszystko: i pnie i kłody i przebiegający między niemi żołnierze. Obłoki szarego, gęstego dymu szły pochyło ku górze i tam na wysokości uścielały się, różowiejąc...

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą, grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jakgdyby liczyła wystrzały. Przelatujących kul niktby nie zliczył. Walily do nich całe dwie rotty, gdyż na polanie bitwa oddawna była już skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już dawno podobijani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla żołdatów.

Już dwa razy kapitan dowodzący wstrzymywał ogień i krzyczał: «poddaj się!» Bo, pominąwszy wszelki nonsens takiej walki we czterech przeciwko dwom rotom piechoty, a wreszcie i sotni kozaków, którzy stali opodal pod lasem, przyglądając się beczynnemu — kapitan zauwa-

żył, że w tem głupim spotkaniu padła już nieprawdopodobna ilość żołnierzy i ranieni byli trzej oficerowie. Dopiero kiedy mu żołnierz podał sztucer, leżący obok jednego z zabitych, kapitan zrozumiał.

Broń była najnowszego systemu, celna, dalekonośna, odtylcowa.

Odsunął tedy linię strzelców i prał zdaleka w tych kilku pozostałych. Żołnierze celowali długo, jak na mustrze. Najlepsi strzelcy starali się i popisywali się jeden przez drugiego, a potężna kłoda bronila zatraconych Polaków. Wybiegło wreszcie kilkunastu na ochotnika, wrzeszcząc «ura», ale kiedy po drodze wywróciło się aż czterech, reszta przypadła do ziemi i, usadowiwszy się za pniakami, zaczęli zbliżać ostrzeliwać kłodę. Tu dopiero trafiony został Rykwila, który przez cały czas, jak maszyna, nabijał broń i podawał Gadzińskiemu, a ten ani razu nie chybił. Teraz dopiero kula oberwała pułkownikowi część ucha. Dostał i Szymborski w sam środek czola.

Już rzadziej strzelał Lenkiewicz, ale też nie chybiał i był cały, bo kryły go dwa potężne konary, ucięte na pół łokcia ponad pniem. Tamtędy, jakby przez małe okienko, puszczał w żołnierzy swoje niechybne kule.

Znowu zaprzestano strzelać. Kapitan wyszedł przed linię strzelców, machał białą chustką i znowu coś krzycał po rosyjsku, czego Gadziński nie rozumiał.

Pułkownik, poznawszy oficera, kazał chłopcu nie strzelać i wylazł na kłodę, złożył ręce koło ust i krzycał:

— Kapitan Ma-twie-jew! Iwan Arkadjewicz! Pa-słu-szaj!...

Kapitan wnet przyłożył do oczu lornetkę i patrzył.

Naraz, o jakie sto dwadzieścia kroków przed nimi ozwał się gruby głos:

— Wasze błagorodje! Zdajties', Boga radi! Dowolno dokazali! Pożaliejtie liudiej i siebia! Zdawajties', wsia czetwiortaja rota za was prosit' budiet... Car was pomilujet za chrabrost'! Zdajties', wasze błagorodje...

Pułkownik spojrział i poznał podoficera niegdyś swojej roty, którego swojego czasu wyba-wił od sądu wojennego.

Żołnierz stał z ręką na daszku, salutując oficerowi.

— Deniszczuk! Zdorowo, brat!

— Zdajties', wasze błagorodje.

— Deniszczuk! Porucznik Kiryłow tut? Słyszysz? Porucznik Kiryłow?

— Nikak niet, oni z tretim bataljonom w die-riewnie!

— Deniszczuk, skażi porucziku Kiryłowu wot czto. Skażi ty jemu...

Ale Gadziński, który strzelał bez przerwy już od godziny, który już nie widział naokoło siebie świata i nie rozumiał już nic — jeno tę niepohamowaną żądzę strzelania, nie mógł wy-

trzymać dłużej, jak kilka chwil. Podczas zawieszenia broni celował on do kapitana, żeby, jak tylko się zacznie strzelanina, powalić jego pierwszego. Na tego kapitana miał on oddawna chęć, ale stary oficer trzymał się zawsze za daleko. Teraz zbliżył się nieco i stanął wyraźnie na tle czerwonej ściany lasu.

— Teraz pewny — szepnął chłopak i zupełnie mimowoli nacisnął cyngiel. Kapitan upadł.

W odpowiedzi na to gruchnęły strzały z tamtej strony i pułkownik zwałił się z kłody, nie zdążywszy nic przekazać dla przyjaciela. Gądziński został sam jeden. Nabił znowu, wymierzył i zwałił tego, który przed chwilą rozmawiał z pułkownikiem, nabił jeszcze raz — ale już dopadli żołnierze i kilka bagnatów jednocześnie przygwoździło go do ziemi.

Na polanie trąbki sygnałowe grały «zbor».

Zapadła noc. Długo kramarzyli się żołnierze z latarniami, zbierając swoich rannych i zabitych. Długo w noc turkotały po gościńcu wozy chłopskie, odwożąc rannych żołnierzy do lazaretu, a zabitych — na uczciwy pochówek.

Koło północy martwa cisza usłala się nad polaną. Noc była chłodna, zbierało się na przymrozek. Wyiskrzyły się na niebie gwiazdy i migotały bladym, zaświatowym odblaskiem. Cicho leżały trupy, gdzie który padł.

Pan Chądziński, powalony nawznak z kulą w płucach i przebity kilkakrotnie bagnetem,

otworzył jeszcze raz oczy i ujrzał gdzieś, jak gdyby w otchłannym dole, w niezmiernie głębokiej przepaści, świetny, mistyczny znak Wielkiej Niedźwiedzicy. Wiedział, że wisi nad nieogarnionem, ciemnym zwierciadłem spokojnych wód — w których odbijają się gwiazdy i czuł, że już nie jest sobą. Długo błędziła w bezgranicznej przestrzeni jego nieśmiertelna dusza, wyparta z ciała przez śmierć. Pozostał gdzieś daleko obcy, okrwawiony trup. Pozostały tam przy nim i dawny ludzki ból, i dawna ludzka myśl, i dawne ludzkie czucie. Szybko zanikała reszta pamięci o tem wszystkim. Już się zaczęło olbrzymie, niepojęte «coś innego» i oto się odbywa. Długo jeszcze ważyła się dusza jak na skrzydłach ponad gwiazdami. Opadała i wznosiła się. Zbliżała się i jak siedem słońc pałało siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Oddalała się — i gasło wszystko. Aż o jakiejś godzinie nocy...

Pomiędzy pniakami i sągami drzewa zaczęły się przemykać czarne, jak sama noc, cienie. Zapadały się na chwilę i gasły fosforyzujące iskierki. Długo, ostrożnie, bez szmeru podchodziły, zbliżały, podkradały się i cofały ponure widma.

Jeszcze je trwożył ostry zapach prochu i świeże ślady żywych ludzi, którzy tędy przechodzili. Jeszcze niedowierzał mądry, zawsze ostrożny i zawsze walczący zwierz. Ale zwyciężył głód. Podkradały się wilki coraz bliżej. Coraz wyraźniej świeciły po nocy bystre ślepia, wypatrując. Odważył się wreszcie najodważniejszy, odwa-

zył się najgłodniejszy i, wężąc, pytając, gotowy każdej chwili uskoczyć — dotknął ostrym, wilgotnym pyskiem bielejącej w ciemnościach twarzy trupa i zionął mu w zastygłe oczy gorącym swoim żywym oddechem.

. . . . .  
. . . . .

O szarym świcie przyszli pierwsi ludzie, a obzarte wilki uskoczyły w las. Pozdejnowały chłopcy czapki nad tem nieszczęściem ludzkim i szeptaly pacierz za zmarłe dusze katolickie. Było ich najpierw trzech. Mieli ze sobą łopaty, każdy miał też i worek pod pachą.

Ale nie było co brać, żeby tak zanadto. Odrazu to było wiadomo. Zrobiło się chłopom jeszcze smutniej. Obchodzili jednak pilnie to miejsce i coraz to się bardziej dziwili.

— Ścierwy, gałgany, obdarły, obrały kaździutkiego, aż strach patrzeć...

— Buty znowu na nich nicwarte, palce wyłażą. Chybaby te cholewy...

— Et, nie z bogacą nas te cholewy! Pieniądze, te pierścionki, ten zegarek, to co innego. Poco ma się w ziemi marnować?

— Przyodziewek złachany, upaprane wszystko w tej krwi. Oj, Boże miłosierny...

— Niechże spoczywają w spokoju.

— A światłość wiekuista niech im świeci.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.  
Amen.

— Ot, ma ślachta za swój bunt, za swoją pańską śmiałość.

— Co to znaczy! Wielu ich tu jest? Ze dwadzieścia, nie więcej, a nad Czarną było wczoraj sto i coś. Sto trupa. Tyż żaden nie uszedł cały, bo który tylko skoczył w las, to go tam kozaki zadźgały.

— Pokaleczonych zabrali nie więcej, jak na pięć furmanek.

— Dobijały soldaty sztykami, który się ruszał. — Co pobrały — to sama ślachta, starszyzna.

— Bedom ich kurować w lazarecie, potem pójdzie sąd, a potem ich powieszają dla większego postrachu.

Westchnęły chłopcy ciężko, zobaczywszy pohańbione, poogryzane trupy ludzkie. Użalały się, zobaczywszy rozciągniętego i gęsto pokłutego bagnietami bosego chłopaka — wyrostka. Był to Jędrak i niechybnie poznałby go który z chłopów, gdyby nie to, że go bez noc wilki na szczęt popsuly.

— Trza ich więc tedy pogrześć po ludzku, nieszczęśników. Co mają leżeć? Tyż są ludzie...

— Poczekajmy przyjdą insi, co się będziemy sami mordować?

— Kiedy strach tak nad niemi stojać po próznicy. Bierzwa się!

Wyznaczyli miejsce pośrodku pobojuwiska, żeby nie było daleko nosić, splunęli w dłonie i zabrali się do łopat.

— Tamtych nad rzeką ksiądz ma dziś jechać pokropić. Jenerał pozwolił—że to niby tak dużo naraz padło. Tylko krzyża ani żadnego znaku zakazano stawiać.

— Soldatów wszystkich na cmentarz złożyli, na pierwszym miejscu. Będą popy i parada z muzyką, a potem, powiadali, wystawią im okrutny pomnik murowany.

— To tyż nie jak trzeba — przecie ony nie katoliki?

— Poco my ich mamy u siebie mieć? Tylko będzie po nocach straszło. Zabójce!

— Soldatowi każą, to idzie.

— Jemu nie każą przetrąconego dobijać, ani palców nieboszczykowi obrzynać dla tego pierścienia.

— Jak nie zabronione, to pozwolone.

— Zbóje są, złodzieje. Trzy dni we wsi stoją, a pokradli, co ino leżało na wierzchu. Do dziwek się zabierają. Chodził soltys do samego jenerała, powiada — jaśnie panie, my cesarzowi wierni byli przez cały czas, choć nas ciągle podmawiały. Za co mamy cierpieć?

Jenerał go pochwalił i rękę mu podał, ale jak kradli, tak kradną.

— Kiedy ich stąd djabli wezmą? Zrobiły swoje — niech se idą. Pogaństwo! Księżę żyto i wszystko Wawrzonkowe i Gruchalakowe i jeszcze Druciarzowe stratowały na klepisko. Szły polem, gdzie popadło, jak te świnię. A nam kto wynagrodzi?

— Cichajcie — bo i cale wsie paliły, i cale miasta paliły, i nikt ani pisnął.

— My byli wierne i za porządkiem.

— Na wojnie nikt nie pyta.

— Jak ony nie pytają to i my możemy nie pytać! Mało to chłopów?

— A zaczniście ino — chce wam się tak leżeć, jak te pobite?

— Jakby się chłopcy ruszyły — to nikt nie poradzi.

— To pocoście się nie ruszyli?

— A bom nie wiedział, czyja prawda. Ale poprawdzie, to żal zmarnowanego narodu. Ile tysięcy...

— Żal jest — ale same sobie winne.

— Pańskie zachcenie, pańska wojna.—A nam co?...

— Ej, Boże miłosierny, co też się wyrabia po świecie...

— Ziemię wydzielać będą aż na wiosnę. A jak przez zimę przyjdzie Napoljon, to co?

Nadchodziły chłopcy z Namłotowa też z łopatami, z siekierami i też z temi workami pod pachą. Pokiwali głowami nad ludźmi, tak strasznie pobitymi i złupionymi. Ledwo który znalazł na nieboszczyku czyli delikatnie odpasał ten rzemień, i zdjął mu, wzdychając, tę dziurawą katanę, podjął tę czapczynę, do grobu nikomu nie potrzebną, ale przeważnie nie łakomil się nikt na marną zdobycz, tylko z tego chrześcijańskiego obowiązku kopali chłopcy pracowicie, pogadując



o tej niesłychanej wojnie, o Polakach, o doli  
chłopskiej, o woli cesarskiej, o tej ziemi, wydzielać  
się mającej, o tym panu ze dwora, co go dziś za-  
brały do kryminału, o tym wójcie, co ma dostać od  
cysarza mental i sto rubli za wierność i zasługi.

.....  
.....  
.....  
O południu skończyły chłopcy robotę, uprzęta  
dobrzy ludzie, przykryła gościnna ziemia to nie-  
szczęście człowiecze. W ciasnym dole zmieścili  
się wszyscy, poszarpani przez okrutną śmierć.  
Urwały się ich cierpienia i ich cele i ich czyny.  
Poszły w zaświaty te dusze nieznaną swoją  
drogą. Derda, zdatny do ciesielki, wyrzucił  
sporą figurę z młodego, gładkiego bucza i wy-  
palił nawet na poprzecznym ramieniu tajemnicze  
znaki I. N. R. I., które stoją zawsze nad ukrzy-  
żowanym Panem Jezusem.

Dźwignęły chłopcy krzyż i postawiły we swoje  
miejsce. Nadźwigali jeszcze głazów, odziomków  
i szczap, nawalili nawierzch, żeby bronily od  
wilków. Starszy od bractwa, Jewczyk, znający  
modlitwy kościelne, odmówił nad grobem, co na-  
leżało. Ponakładali czapki, powzdychali, zabrali  
się i poszli.

.....  
.....  
Przyszły zimne szarugi jesienne. Przez długie,  
czarne noce mocowały się wichry z krzyżem, aż

się pochylił nad mogilką, jakby ją chciał jeszcze  
sobą przykryć i ochronić. Wyl wicher w na-  
gich gałęziach, chodził nad lasem głęboki szum,  
jakby od dalekiego morza. Lały się strugami  
zimne deszcze i wsiąkały w rozkopaną ziemię.  
Nikt tu nie bywał. Czasami podeszły te głodne  
wilki, węsząc i próbując się dokopać. Cza-  
sami wrona siadła na krzyżu, kracząc. Osiadła  
szybko usypana ziemia, aż ją podparły pierwsze  
mrozy.

Zawaliły polanę faliste zasy py śniegowe, za-  
sypały i pniaki, i drobne krze, i mogilkę. Jenó  
krzyż wysterczał nad białą płaszczyzną, stojąc  
na pustkowiu, i w ciche, mroźne noce księżycowe  
rzucił za siebie czarny cień. Przebiegał cza-  
sami przez małożnaczný wzgórek śniegowy leśny  
zwierz, znacząc za sobą nikły łańcuszek śladu.  
Pustka, spokój i samotność pilnowały grobu i tej  
jego czci.

Przyszła pora cieplejsza, jako przychodzi po  
roku o swoim czasie. Poszarzały śniegi, pokru-  
szały, wyszły nawierzch odziomki drzew, wy-  
dobywały się z pod długiego ucisku połamane  
krzaki i młode pędy bukowe. Bełkotały na spad-  
kach wiosenne strumyczki, wypijała ziemia resztę  
wilgoci. Wyjrzały najpierwsze kwiateczki, puściła  
się chybko trawa.

Odżyła i przeszła w cudną, młodzieńczą zie-  
loność czarna ściana lasu. Gęstniały, rosły, chci-  
wie żerując, młode bucunki, walczyły z dzikiem  
zielskiem i ze sobą nawzajem, przepychając się

w ścisku o to życie. Zaczęły się radosne gody wszelkiego stworzenia.

Śpiewało ptactwo ponad porębą, buczały owa-  
dy. Pracowały przychodzące z oddali pszczoły.

Przychodziły chyłkiem od gajowego gromadki  
dzieci po bujnie pleniące się na porębie jagody.  
Zdaleka okrażały złowrogi krzyż, trzymając się  
ze strachu za ręce. Za nic w świecie nie pode-  
szłoby żadne bliżej jak o staję od straszego  
miejsca, gdzie w szczerej pustce, w niepoświęca-  
nej ziemi leżą pomordowane «Polaki».

Trawa i wszelakie zielsko szybko ogarnęły  
już wyrównany kopczyk. Przyszła jesień i bar-  
wić się już zaczęły buki, przykracał się dzień,  
leciał z drzew liść i ziarenka nasion siały się  
po świecie. Czepiało się wszystkiego babie lato,  
wiedły lodygi ziół i traw, marniały kwiaty...

I tak co roku.

Szło wszystko o swojej porze. Zamierało ży-  
cie na polanie co jesieni, odradzało się na wiosnę.  
Podrastały buczki. Szybko szły w górę te, których  
nasiona rzucił los na zapomnianą mogilkę. Stała  
ich pośrodku polany znaczna kępa, górująca po-  
nad resztą. Walczyły o miejsce, o życie, młodsze  
drzewa. Dusily się nawzajem, odbierały sobie  
chleb i powietrze i światło słoneczne. Długo  
jeszcze sterczał w górze, ponad młododrzewiem  
krzyż pochylony—aż zrównały się z nim potęż-  
niejsze drzewa żywe, pod ziemią walczące ko-  
rzenie wyparły go, jako martwą rzecz. Któregoś  
roku obalił się krzyż, spróchniał doszczętu w cie-

niu i wilgoci i wdeptało go w ziemię nieusta-  
jąca życie. Szły w głąb korzenie, szukając swo-  
jego żeru. Pożerały, co natrafiły popod ziemią,  
aż któregoś roku doszły do pogrzebanej od lat  
tajemnicy.

Zarastał mogilkę młody, gęsty las, opuściło  
mogilkę wszystko, co tam gdzieś żyło na dale-  
kim świecie, daleko, daleko za lasem. Przecho-  
dziły jeno ponad nią we mgłach jesiennych, nisko  
wiszących nad ziemią, bolesne, ciche, zdaleka  
płynące westchnienia sióstr, matek, kochanek,  
szukających bolesną tęsknotą tych niewiadomych  
grobow. Jeszcze przez długie lata — po polach  
i lasach błądziły żalosne tęsknice, nie mogąc  
nikędy trafić ani odszukać wśród nawalu brat-  
nich i cudzych mogił ukochanego swojego miejsca.  
Lata płynęły. Zapomniały siostry, pocieszyły się  
kochanki, wymarły matki.

Któregoś roku przeszli przez gąszcz, gajowy  
z panem nadleśniczym, nacechowali najdorodniej-  
sze buki. Przyszli potem ludzie z siekierami  
podcinać w gąszczu marniejsze drzewiny, przy-  
szli pomagać tym, które były mocniejsze.

Któregoś roku usłyszały rozrosłe drzewa dziw-  
ne głosy, które nie były ani głosami ptaków,  
ani owadów, ani żadnego zwierza leśnego. Nie  
był to ani plusk ulewy, ani wycie wiatru, ani  
grzmot burzowy, ani też głos człowieka, który  
przemykał tędy zrzadka.

Zdaleka płynęły przenikliwe, złowrogie, do-  
nośne głosy. Płoszyły się ptaki, bacznie, nie-

ufnie nadsluchiwały, obracając się w tę stronę, wytrawne lisy. Szło przeciągle, mocne gwizdanie, szedł za nim długo żelazny rumot i głuchy zgiełk. Po kilka razy na dzień przechodziły przez las tajemnicze loskoty — a las powtarzał je za każdym razem posłusznie.

Wymarło pokolenie, dla którego było jeszcze «porębą» to miejsce, gdzie szumiał o tej porze tęgi, dorosły bór. Już w ziemię patrzali ci, co się porodzili pod znakiem klęski w onym niešťczęśliwym roku. Dźwigał na sobie każdy tę ciężką pamięć, jako miłosierne dziedzictwo. Całą swoją niedolą i niedolą dzieci swoich pamiętał tę krew ojcową. Ale nikt już tych czasów nie wspominał. Dawno zeszli z pola ukarani winowajcy. Cichuteńko żyli, cichuteńko, nieznacznie wymierali ci, którym dało się ujść cało. Nieśmiało wracali do kraju wygnańcy i z radością umierali na rodzonej ziemi.

Już im przebaczyli tę starą winę potomni. Ich zamiary, czyny, męczarnie zagrzebał szary, powszedni dzień, pełen nowych trosk, nowych prac, nowych, wielkich celów.

Nowa kolej pozyskała dla bogactwa narodowego daleką dziedzinę, szczerą pustkę, gdzie nadzwyczajne bogactwa leśne dopiero z otwarciem nowoczesnej komunikacji stały się czemś realnem. A dalej — wszelkie oznaki węgla, a dalej — zupełnie sprawdzone pokłady rudy żelaznej, a dalej — glina cementowa, glina ogniotrwała.

Upadł pod siekierą las bukowy i pojechał w świat koleją. Kiedy się usunęła jego ściana — pokazały się kominy fabryczne, wiecznie dymiące, pokazało się wielkie przemysłowe miasto, które tymczasem wyrosło, a w którym nic już nie zostało z dawnej wioski, prócz ozdobnego i starannie utrzymywanego pomnika dla poległych za cara i ojczyznę żołnierzy i oprócz dawnej nazwy. Do Namłotowa ściągali ludzie zewsząd po tę ciężką pracę i po ten ościsty chleb. Budowali szosy i koleje, murowali domy, zapelniali tłumami fabryki, kopalnie. Pobiegły w różne strony od miasta boczne odnogi żelazne. A kędy przeszła taka droga, wyrastał aż pod niebo komin, a gdzie raz stanął komin — śmierć i zniszczenie padało na wszystko, co chciało żyć wedle woli boskiej.

Puścili się były wnet buczki na nowej porębie. Rozrastały się bujnie, uparcie, niebacznie. Aż któregoś dnia letniego zaczęła się zapadać pod niemi ziemia, rwały się delikatne korzonki i młodociane drzewinki spadły w głęboką czeluść. Posuwała się linja robót, obsypywała się codzien ziemia i codzien ginęły drzewinki.

Któregoś popołudnia pracowali ludzie na spiekocie, złani potem, złamani trudem i jak zbawienia wyczekując wieczora. Leniwie obracały się łopaty, ładując glinę na wagonetki. Leniwie pokrzykiwał na nich dozorca, stojący pod parasolem. Nagle posypały się z góry wraz z darniną i ziemią jakieś kości. Potoczyła się za nią

druga — trzecia — piszczele, zebra — kręgosłupy.

Ustała robota. Sam dozorca podszedł patrząc. Obstąpili ludzie wokół te stare resztki.

— Dziura w czole wybita. To od kuli.

— Pod okiem kość przebita...

— To po jakiejś bitwie...

— Ale po jakiej...

— Mało się ludzie to mordowały od początku świata...

Patrzyli w górę robotnicy, gdzie na sam brzeg wyszedł jeden, żeby odgrzebać i zepchnąć na dół, co tam jeszcze zostało w starym grobie.

Spadały kości raz po raz, zsuwały się czaszki po pochyłości i zataczały się daleko. Zgromadzono to do kupy, naliczono dwadzieścia głów.

Gapił się na to i stary dziadyga — który prowadził konia przy wagonikach.

Stanął, patrzył razem z innymi, a kiedy się już napatrzył, zawołał:

— Wiem, wiem. To z powstania. Tu na porębie były też zakopane. Prawdę powiadam! Tego dnia — było na jesieni, rodzony syn mnie przepadł, jak kamień we wodę. Jak tu jeszcze wkoło nic nie było, nic a nic jeno te lasy, lasy...

I wypełzłe oczy starego nędzarza rozglądały się w pociesznym zdumieniu po tej rodzinnej okolicy, po tych dymiących kominach i po tych obcych ludziach.

Dozorca gnał do roboty, ale ludzie odsłonili głowy i stali w milczeniu.

## TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

(J. MORTKOWICZA) w WARSZAWIE

Mazowiecka 12

Telefon 244-14

### Książki polecane do bibliotek szkolnych i nauczycielskich

przez Komisję przy Minist. Wyzn. Rel. i Oświec. Publ.

<b>Andersen.</b> Baśnie. Wyd. zbiorowe w 6-ciu tomach	24.—
<b>Bezmanski.</b> Wspomnienia dzieciństwa	1.50
<b>Bobińska H.</b> O szczęśliwym chłopcu	3.60
Stach Sobie Pan	kart. 2.50
Tajemnica Romka	1.50
<b>Candéze E.</b> Przygody świerszcza	2.50
<b>Choromański L.</b> Dziwne przygody	kart. 2.50
<b>Dąbrowska M.</b> Dzieci Ojczyzny	4.—
Marcin Kozera	1.20
Przyjaźń	1.20
Uśmiech dzieciństwa	2.—
<b>Dybczyński T.</b> Wpoprzek Sybiru	4.—
<b>Ernst O.</b> Historia młodego życia	1.50
<b>Geijerstam G.</b> Moi chłopcy	kart. 3.—
<b>Grzelak Wł.</b> Łódka z biegiem Wisły.	6.—
Na wodach Narwi i Pilicy.	2.50
<b>Hertz B.</b> Przygody Magdusi	3.—
<b>Homer.</b> Odyseja w przekł. J. Wittlina	10.—
<b>Kasprowicz J.</b> Księga ubogich	3.—
<b>Korczak J.</b> Józki, Jaśki i Franki	kart. 4.—
Mośki, Joski i Srule	4.—
Prawidła życia	3.50
Sława	1.20
Bankructwo małego Dżeka	3.60
<b>Lagerlöff S.</b> Cudowna podróż	opr. 10.—
Wspomnienia	1.50
<b>Lange.</b> Dywan wschodni	2.—
<b>Lechoń.</b> Karmazynowy poemat	2.—
<b>Molnar F.</b> Chłopcy z Placu Broni	2.50
<b>Mortkowiczowa J.</b> Anulka	4.—
Z naszej szkoły	1.50
<b>Mortkowiczówna H.</b> Gorycz wiośniana	3.50
30 kolegów z całej Polski	6.—
Pawelek w ogrodzie zoologicz.	2.—



267258

<b>Nesbit E.</b> Poszukiwacze skarbu	kart.	3.—
<b>Norwid.</b> Czarne i białe kwiaty		3.—
„ Poezje wybrane		12.—
<b>Noyszewski-Piołun St.</b> Stefan Żeromski		12.—
<b>Or-Ot</b> Pieśń o Rynku i Zaułkach		2.—
<b>Orsza H.</b> Na ziemi polskiej przed wielu laty,	kart.	2.50
<b>Przychocki G.</b> Kultura klasyczna w kul. współcz.		2.—
<b>Selmer Gjems A.</b> Nad dalekim cichym fjordem		2.—
<b>Siedlecki M.</b> Głębiny	kart.	5.—
<b>Staff L.</b> Ptakom niebieskim		4.50
„ Ścieżki polne	kart.	2.50
„ Sny o potędze		5.—
<b>Strug A.</b> Ludzie podziemni		6.—
„ Odznaka za wierną służbę		5.—
„ Ojcowie nasi		8.—
<b>Szelburg E.</b> Bracia miesiące		3.—
<b>Szymanowski.</b> Wychowawcza rola kultury muzycz.		1.50
<b>Wierzyński K.</b> Wiosna i wino		3.—
„ Laur olimpijski		2.—
„ Rozmowa z puszcza		3.—
<b>Wilde O.</b> Opowiadania: I Urodziny infantki, II Prawdziwy przyjaciel, III Rybak i jego dusza.		3.—
<b>Wittlin J.</b> Hymny		3.
<b>W szkole i w domu:</b> Rewolucja Listopadowa		—20
<b>Zieliński T. prof.</b> Irezyona I/II. Klechdy Attyckie		3.20
„ Świat antyczny I; Starożytność bajeczna		18.—
„ Świat antyczny II: Grecja niepodległa		14.—
„ Literatura starożytnej Grecji. cztery części		10.—
<b>Żeromski St.</b> Dla młodzieży		5.—
„ Dziennik podróży		4.—
„ Echa leśne		—75
„ Syzyfowe prace		5.50
„ Wisła		1 20
„ Wszystko i nic		1.20
<b>Żurakowska Z.</b> Fetysz	kart.	4.—
„ Gość z Ameryki		1.—
„ Trzy srebrne ptaki		1.—
„ Pójdziemy w świat		1.20
„ Skarby	3.— kart.	4.—
„ Pożegnanie domu	3.— kart.	4.—
„ Roman i dziewiętnastu		2.50

*Cena opraw kartonowych od gr. 80 do 1.—*